



<http://rein.org.pl>





<http://rcin.org.pl>

# JARMARK W DABROWEJ

OBRAZ I.

*Sceny przedjarmarczne.*

OBRAZ II.

*Sceny jarmarczne.*

OBRAZ III.

*Sceny pojarmarczne.*

---

INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN  
BIBLIOTEKA  
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72  
Tel. 26-68-63

KRAKÓW

W księgarni i wydawnictwie dzieł katolickich.  
CZCIONKAMI „CZASU.“

1857.



# **JARMARK W DĄBROWEJ.**

---

JANINA W. DĄBROWSKA



# JARMARK W DĄBROWEJ.

## ODDZIAŁ I.

### SCENY PRZEDJARMARCZNE

(we dworze pana Z.)

---

**Pan Z...** *dziedzic, Pan K...* *gość poufały.*

**Ekonom, Stangret, chłopiec stajenny.**

(rzecz w stajni.)

*Pan Z.....* Żeby nie ten naręczni, toby jeszcze uszło; co mówisz panie K.....

*Pan K.....* Może ujdzie, bo jak się rozchodzi to nie znać.

*Ekonom.* Nie pozna się byle kto Wielmożny panie, a jeszcze żeby to trafić na młodzika, co się często zdarza, teby był interes!!

*Stangret.* Ale gdzie tam nie uzna, kiedy breviter kuleje, widać oczywiście, iż naddarty w piersiach. — przecież nie głupiemu gadać, jak kto zobaczy.

*Pan.* Ale się może rozohodzi, a byle go tylko pozbyć i pchnąć między ludzi.

*Stangret.* No, nie wiem Wielmożny panie ale by już na to, trzeba osobliwego szczęścia od pana Boga!—

*Pan Z.* . . . . Wyprowadźno go Macieju! Tylko pamiętaj, przodem go stawiać wyżej, łep trzymać na trenzli do góry, a jakby nogę wystawiał, to go cofać i grać mu w pysku trenzlą... rozumiesz?...

*Stangret.* Ej, mnie tam nie dziwota Wielmożny panie na jarmarku, ani mi też nie pierwsza. — Tylko że choć lada kiep z przeproszeniem Wielmożnego pana, to się pozna! — Najlepiej z żydami zamarzyć, to oni łatwiej komu wetchną.

*Pan Z.* . . . . Już nie rezonuj tylko wyprowadź! . . . . No! jedź stępa! . . . . łeb do góry, a nazad wracaj kłosem i rozpuść cugle, a świstaj aby go straszyć!.. No!. cóż panie K. . . . . czy znać?..

*Pan K.* . . . . Trochę nalega, ale się powie, że był zagwożdżonym.

*Pan Z.* . . . . Oczywiście... Słyszysz Macieju, gdyby się kto poznał, to powiesz że był zagwożdżonym.

*Maciej.* O to fracha co powiedzieć, byle chcieli dać wiarę.

*Pan Z.* . . . . Tylko nie rezonuj proszę cię, ale słuchaj i tak rób, jak ci się każe.

*Ekonom.* Niech się Wielmożny pan nic nie turbuje, bo ja tam przecież będę, to potrafię wyłgać. Przecież podobno nie ma grzechu zakląć się na jarmarku, jako na utwierdzenie.

*Pan Z.* . . . . A gdyby się wzięło za cztery choćby 5,000 złp. albo 1250 reńskich, toby dobry był interes.

*Pan K.* . . . . Może się i weźmie.

*Ekonom.* Jak nic, tak się złapie 1250 reńs.

*Pan Z.* . . . . To dobrze! chwała Bogu, boby się też przydały!.. No, wprowadź go do stajni, a teraz wyprowadź licową!.. Jakże jej oko?...

*Stangret.* Zawsze w tój samėj porze jest Wielmożny panie, . . . nic się jój nie poprawiło.

*Pan Z. . . .* Głupis! „zawsze w tój samėj porze!“ Przecież już było lepiej!. Nieprawdaż panie Życieński?

*Ekonom.* W samėj rzeczy, Wielmożny panie, że było pierwój, . . . ale o licową niema kłopotu, i jużby trzeba franta aby się poznał.—Bo cóż na to mówiąc: koń czyli inaczej kobyła, to jest taki zwierz, iż może być zawsze na coś falowny, ale na to nie trzeba uważać, że on jest taki albo owaki, tylko, co się tycze do jarmarku, zaprzęgnąć w krakowskie chomontka coby były lekkie, i trzasnąć z biczka, a zaciąć samym końcem licowego, a na odsiebkę naręcznego krzyknąć na konie, byle ostro, to Chryste Jezu! ani pytam tylko sprzedają!! Jakto na ten przykład żydzi: To sobaka przywlecze rozmaitych koni czyli wywłoków z Łęcznej i ustawi to do góry łbem w stajni, proszę Wielmożnego pana.—On tam nic nie pyta, tylko jak się trafi!.. Choć każdy na żyda uważa dużo więcej co jest z urzędu już oszust, jak na Wielmożnego pana, który dla plejzyru jedzie sobie na jarmark, i handluje swojemi własnymi końmi.—Więc choć się trafi kaleka jeden albo dwa w całej czwórce, to już na to mniejsza jest między panami uwaga.—A jak to się stało kiedyś te srokaty co go miałem, co była taka tęga sobaka, żem go użgać nie mógł? — To proszę Wielmożnego pana przyszedł do stajni proboszcz i ogląda go! . . . dobrze! pyta, „Czyj to koń!?. . . A ja odpowiadam: „mój do usług księdza kanonika“ (boć zawsze lepiej pochlebić) „Czy można go widzieć na polu“? „I owszem, rzeknę. . . Dopiero, cóż ja robiący? . . . Wziąłem pieprzu z masłem, com miał umyślnie w skorupie, i z przeproszeniem Wielmożnego pana, posmarowałem mu przy

ogonie, a siądę oklep na niego! Jak wyjadę, jak ruszę galopa, a mój koń ogon do góry, a nogami tak przebiera jak panienka w tańcu!... Ksiądz proboszcz się patrzy, i laską na mnie kiwa. Dojeżdżam, stoję frontem, a mój koń w miejscu drepcy i parska... „zdrow (odezwę się do konia.) W tém X. proboszcz pyta: „Wiele to za tę szkapę?... To nie szkapą Wielmożny kanoniku, tylko koń! (rzeknę) Tysiąc złotych bez targu! Ho! ho! powie X. proboszcz, chyba krakowskim targiem.—Wybacz X. kanonik rzeknę, my tu nie w Krakowie są na Kleparzu, ale w Dąbrowej na jarmarku. Dość na tém, krótko mówiąc, że wziąłem ośmset złotych w samych cwancygierach, i jeszcze mnie ksiądz poczęstował, a memu Frankowi dał cztery złote oduzdnego.

*Pan Z.*.... To dobrze, ale zapomniałem ci powiedzieć mój Życieński, abys kazał konie przekuć.

*Ekonom.* O to najłatwiej, bo to dzisiaj być może, ale iż nie mamy żelaza na podkowy.

*Pan Z.*....I cóż będziemy robić?

*Ekonom.* To bagatela, bo weźmie się klamry dwie co były dla cieszów i jest zaraz materya, tylko znowu gorzej o te węgle co ich kowal niema. — Już tydzień jak nie kuje bez węgla, a ma dopiero dzisiaj do kurzenia zakładać.

*Pan Z.*.... A to bieda!! Ale mój Życieński w tém twoja wina, żeś nie zameldował, aby się żelaza kupiło!

*Ekonom.* Kiedy była niedawno jeszcze cała sztabka Wielmożny panie ale cóż to na tyle wozów i tyle pługów!! wreszcie była nagła potrzeba zrobić haki do zawias, a już żelaza nie było, więc kazałem wyjąć dwa bronniaki z bron, i huk z tém do kuźni! Odkrzywi

kował koniec, przeciął, sklepał, i jużci są haki! . . Trzeba różnie na tym świecie szpekulować, aby było dobrze! . . .

*Pan Z.* . . . . Ale to nie dobrze, bo to jest nieporządek psuć brony. Tymto sposobem wszystko się w gospodarstwie niszczy.

*Ekonom.* Ej, proszę Wielmożnego pana! jeszcze gdzie indziej gorzej się robi, ale jak bieda, to musi być na ten tryb, kiedy inaczej nie można. Co tam o dwa bronniaki, ani tego rola poczuje. Ale . . . coś miałem mówić! Oto proszę Wielmożnego pana aby wziąć na jarmark i tego dychawicznego kuca, co chłopak na nim po mięso jeździ. On się teraz wybrał na trawie, to się go w lot sprzeda.

*Pan Z.* . . . . A któż go kupi? . . . .

*Ekonom.* Lada jaki panicz go porwie. Poprosi Tautunia, a teraz za dwa miesiące wagacye, to takie konie są poszukane. Tylko trzeba go wystrzydz na taką modę jak kuce. Ogon mu się utnie przy samej chrząstce, grzywa mu się w grzebień równiutko ostrzyże, nogi się szkłem wygola, zębów Berek trochę ruszy, da mu się uzdeczkę z takim czerwonym kutasem, czapraczek jaki taki i ryngort, i tak się go wyalagantuje, że ani z nim dwóch pacierzy nie postoję na rynku, a zaraz pójdę do pieniędzy.

*Chłopiec stajenny.* Kiedy się on dusi, aże okropa, a najbardziej jak się wody napije.

*Ekonom* (do chłopca). Patrz swojego, nie wtykaj się między panów, słyszysz?

*Pan Z.* . . . . (do chłopca). Bo ty chłopcze zawsze na nim cwałujesz, jak jedziesz po mięso lub z mięsem.

*Chłopiec.* O nigdy, Jasnie Panie! bo on sobie zawsze lekutko skrocza chodzi. Tylko o to, że się dusi, a jak-

by go ile tyle chciał popędzić, to tak będzie wierzgał, że aż się za grzywę trzeba chwycić, żeby z niego nie spaść.

*Pan Z.* . . . . . Boś go znarowił! Zobaczysz chłopcze, że będziesz karanym, bo ty mi konia zepsułeś.

*Chłopiec* (płacząc). Za cóż ja też mam brać bicie, com go nie znarowił, a jeszcze o nim pamiętam, bo na niego pan ekonom ani owsa ani siana nigdy nie wydają, tylko tyle, co też innym koniom ukradnę, a jemu dam, albo koniczyny co urwę z szopy dla niego! . . . Ogrodniczek na nim jeździł i pan pisarz, kajś tam w nocy go wywiódł, co aż nad ranem przyjechał, i teraz co konia popsuli, to ja będę odpowiadał! . .

*Pan Z.* . . . . . Mój Życieński, cóż to za nieporządek, aby każdy sobie samowolnie konia brał ze stajni?

*Ekonom.* Ale to fałsz, Wielmożny panie! Huncwot chłopak kłamie, bo pisarz tylko w niedzielę wyjechał na godzinę jakby wieczorkiem, bo się podobno gdzieś zaleca do córki ekonoma w drugiej wsi, więcby krzywdy koniowi nie zrobił. Ale to nic, bo kuc każdy musi wierzgać, gdyż mu to z rodu przypada, a co zaś do dychawicy, to już moja sztuka, bo ja umiem na 24 godzin przytrzymać, tak doskonale, że jednego razu tom żyda przecież oszukał, a był roztrucharz feiner.

### **Pan Z..... z Żoną**

(w pokoju.)

*Pan Z.* . . . . . Mam nadzieję, iż naszą czwórkę dobrze sprzedam, bo widzisz, moja żono, iż nasze konie są wierutne gałgany i niewarto ich dłużej trzymać, jedno jest rozbite, a drugie kulawe. — Błogo będzie wzięść 5000 złotych.

*Pani Z.* . . . . . Już ja się mój mężu z tego nie cie-

szę, boś jeszcze z żadnego jarmarku pieniędzy nie przywiózł. Zgrasz się znowu, i nie będzie ani koni ani pieniędzy.

*Pan Z.*.... A z Jędrzejowa nie przywiozłem to ładnej sumki? to przecież były wygrane pieniądze.

*Pani Z.*.... Niedługoś się niemi bawił, boś je zaraz przegrał, i jeszcze twoich dołożyłeś! Nigdy mnie wygrane przez ciebie pieniądze nie cieszą, bo jeszcze więcej w tobie tę obmierzłą namiętność budzą. Porachujno, ile cię już gra kosztuje, i o ile się nie raz w skutek tego na ciężkie kłopoty naraziłeś! Prawdziwie, iż gdybym była rządem, tobym wszystkie jarmarki zakazała, bo wy tam pod pozorem sprzedaży koni, Bóg wie, co robicie? - Pijaństwo, karty, burdy, i broń Boże, co więcej!

*Pan Z.*.... O tak!... tobie najwięcej chodzi o to, „co więcej!...“ Kobiety wszystkie są podejrzliwe, a ty jesteś najpodejrzliwszą między niemi. Człowiek się namęczy, nachodzi, napracuje, aby na jarmarku dobry interes zrobić, i interesa rodziny podłatać; a tu masz wdzięczność!! Często myślę sobie, iż lepiej ręce opuścić i w domu siedzieć, jak za dobre intencye doznawać wyrzutów.

*Pani Z.*.... Nie mówię ci, mój mężu, abys ręce opuścił, ale tylko żał mi twoich trudów na tych obrzydłych jarmarkach, z których najczęściej przyjeżdżasz chory, smutny, obdarty z pieniędzy, i jeszcze w dodatku zawsze się z kim poróżnisz. I tak: potrzebnie ci było pogniewać na siebie pana R... godnego i poważnego człowieka?....

*Pan Z.*.... Moja żono! nie wspominaj mi o tym nudnym a głupim moraliscie, bo mnie w zły chumor wprowadzasz! Dziwno mi nawet, że go tak bronisz,

widząc, jak dalece mi uchybił!... Może wolałabyś jego mieć za męża jak mnie; żałuję żem ci los zawiązał!... A ja ci powiadam, że to obmierzły hypokryta, jezuita, świętoszek, słowem człowiek zły.

*Pani Z.*.... Kiedy nie można ci żadnej zrobić uwagi, bo się zaraz gniewasz!! Ja nie bronię pana R. . . , który mi jest zupełnie obojętnym; tylko chodzi mi o ciebie, gdyż widzę, że w waszém poróżnieniu, nie jemu ale tobie winę przypisują. On jest w obywatelstwie szanowany i każdy po jego stronie raczej stanie, jak po twojej. Ma za sobą opinią świata.

*Pan Z.*.... Bo świat jest głupi i niesprawiedliwy. Ja nie dbam o opinią świata i jestem wyższym nad nią. Radzę się tylko własnego sumienia!! I tak np. wielka rzecz, iż te parę tysięcy przegrałem?... I cóż z tego? przegrałem, to przegrałem, ale mogłem i wygrać!... Bo gdybym był słuchał mego instynktu, to bym był zdebankował!... Ale najgorsi są radcy nieproszeni, którzy sami nie grając, stoją za stołkami i bębnią nad uchem. Lecz czyli to upoważniało p. R. . . do robienia mi uwag i prawienia morałów?!... Choćbym też i cały majątek przegrał, to cóż mu do tego? Jestem przecież panem mojej woli i mojej własności! On nie ma prawa uczyć mnie obowiązków względem mojej rodziny!! A że go bronisz, to dowodzi tylko, iż ci nie jest tak obojętnym jak powiadasz.

*Pani Z.*.... Ale mój mężu, kiedy zaraz posądzasz, a nie uwierzysz, jak takie posądzenie bolesném jest dla kobiety! Jeżeli ci się czasem sprzeciwiam, to zawsze mam na celu, Bóg widzi, twoje dobro, i twoją spokojność, bo wiem ile na kłopoty jesteś zgryźliwym.

*Pan Z.*.... Właśnie też, aby raz wyjść z kłopotów, chcę jechać na jarmark. — Bo choćbym tylko wziął za



czwórkę 5000 zł., a za kuca niechby 400, to mam już 5400 i zaraz zapłacę w Tarnowie Dawidowi 3000, które pożyczyłem na 3 procentu miesięcznie; — teraz znowu Mosiek, tak jak 1600, a z procentami za 3 miesiące 2000 — więc mi jeszcze zostanie 400. Te, pozwolisz, zreknuję na małą i rozsądną grę. Wygram? to pędzę! — Przegrywam? to: *se retire!* — I tak bawiąc się przyzwoicie i bez pasyi, można z téj lichéj sumki przyjść do ładnego grosza!... Więc zapłaciłoby się zaraz profesorowi od naszych dwóch chłopców w Tarnowie, i trzebaby im też co sprawić, a resztą tobyśmy się z sobą podzielili. Widzisz żono, że jestem człowiekiem rozsądnym, i pan R... nie będzie mnie rozumu uczył; a że jestem przedsiębiorczym, i że przy gospodarstwie rolném łączę przemysł gry, to w tém nie ma winy, ale zasługa! Dzisiaj świat na przemyśle stoi, i głupi, kto téj tendencyi wieku nie rozumie. Widzisz jak to pan Y interesa robi?!

*Pani Z...* Ach! mój mężu! nie mów mi o tym niegodziwym panu Y, bo wrodzoną mam odrazę do tego człowieka, który jest właśnie twoim kusicielem. Człowiek, którego gra jest jedynem rzemiosłem i który życie pędzi wśród karcianej po świecie włóczęgi, człowiek, który niedoświadczoną i łatwowierną młodzież do szulerstwa wprawia; który ojców rodziny po całych dniach i nocach przy stoliku gry trzyma, a nam wydziera szczęście, majątek i pokój domowy, taki człowiek godnym jest powszechnéj wzdardy, i wierz mi mój mężu, iż zażyłość twoja z panem Y, odwróciła ci szacunek poczciwych ludzi.

*Pan Z.....* Jakich-żeto ludzi?... może twoich dewotek i Jezuitów frakowych, których dowódczą jest twój pan R... Nie znasz, mówię ci, cnót i zalet pana

Y... i dla tego na człowieka pełnego zasługi miotasz potwarze; ale ja go znam i nieraz dał mi dowody przyjaźni i poświęcenia, na któreby się nie zdobył żaden z twoich świętoszków. I tak, gdy mnie pewnego razu los przesładował na jarmarku w Łęcznej i przegrałem do niego znaczną summę, cóż ten poczciwy człowiek robi?... Pożycza mi z wygranych 100 czerwonych złotych, abym się mógł odegrać i straty powetować. Wyraźnie przegrana moja ciążyła mu na sumieniu. Ale trudno! pomimo życzeń jego, nieszczęście mnie przesładowało. Przegrałem i te sto dukatów, wtenczas on widząc mnie w ambarasie, ani się namyśla, lecz pożycza mi 20 dukatów, abym miał o czém pojechać do domu, i mówił: „Oddasz mi pan, kiedy „będziesz chciał i mógł, bo więcej ufam charakterowi „pańskiemu jak najlepszej hipotece.“ — Oczywiście, iż pożyczyłem u żyda, a zaraz dług honorowy odesłałem, ale powiedz, moja żono, czyliby się który z twoich świętoszków tak szlachetnie znalazł?

*Pani Z.*.... Najprzód uczciwy by cię człowiek nie zgrywał i nie stawiał w konieczności pożyczania, a powtóre, on ci tylko z wydartych pieniędzy dał jałmużnę, i to tytułem pożyczki, wzięwszy za 120 dukatów słowo twoje i honor w zastaw. Szkaradny człowiek! obrzydły! szatan!...

*Pan Z.*.... Ej pleciesz, moja żono! głowę ci katolicy przewrócili tak, że dzisiaj nawet rzeczywistych zasług w ludziach ani przyznać ani ocenić nie umiesz. Czytasz te androny pobożne, które cię egzaltują i tworzą z ciebie dziwaczkę i rodzaj moralistki nowego autoramentu. Ja wszystkie te twoje szpargały w piec wrzucę, bo już tego za nadto!... Powiem ci jeszcze, iż pan Y... nie tylko jest człowiekiem godnym, ale za-

sady jego humanitarne, świadczą o wielkości jego duszy. Gdyby się społeczeństwo wedle jego zasad urządziło, tobyśmy raj mieli na świecie!! Ale wieki tylko mogą tak ważne reformy przeprowadzić jakie on projektuje.

*Pani Z.* . . . . Ja się na tem wszystkim nie znam, ani uczyć się jego zasad nie pragnę; wolno mu zaś mniemać, iż musi być komunistą, bo zawsze trzyma rękę w cudzej kieszeni, a najczęściej w twojej. Niechże ten wielki reformator najprzód zreformuje siebie, i zamiast ludzi pracowitych ogrywać, sam w pracy szuka uczciwego zarobku.

*Pan Z.* . . . . Już skończmy o tém, moja żono, bo mnie zgiewasz a nie przekonasz. Ja mam o ludziach moje zdanie, wyrobione i ugruntowane. Za kilka dni zjeżdżamy się w Tarnowie z panem Y. . . i jedziemy na jarmark. . . Jestem pewnym, iż przyznasz za moim powrotem, że téj podróży na darmo nie przedsięwzięłem.

## Scena przed jarmarkiem

(w innym dworze).

*Mosiek* (pachciarz i handlarz). Proszę z przeproszeniem, czy Jaśnie pan każe wziąć i te dwa zróbki, co są w stadninie, po trzy latka?

*Pan T.* To nie warto, bo to są jeszcze kłaki, których nikt nie kupi.

*Mosiek.* Jakto nie kupi! prędzej kupi jak te stare, bo się na ich będzie spodziewał, a na starych to ryzyk. Co młode, to młode. Ekonom, to ani będzie pisał, tylko je zapłaci. Aj wej! żebyś takich miał tysiacy!!

*Pan T.* Kiedy one jeszcze ani pod wierzch ani do zaprzęgu, zrzebięta!!

*Mosiek.* A na co ekonomowi mieć do zaprzęgu? On to będzie wypasiał na folwarku, a potem wychędorzy, umuska i znowu prowadzi na jarmark, aby co zyskować. Ja wolę takiego zróbka jak innych dziesięć.

*Pan T.* Ależ o to mi chodzi, że to po klaczy mego syna, więc jak wróci na wakacye, to zmartwi się, że jego przychowek sprzedany.

*Mosiek.* Zróbek jest Jaśnie panicza, a pan panicz, jest syn czyli ziecko Jaśnie Wielmożnego pana, a Jaśnie Wielmożny pan choćby miał sto dzieciów, toby i tak było dla każdego. — Aj wej! mirgiszaj!! na tyła majątków to i konie będą dla dzieciów i krów, i pole i las. A jak JW. pan weźmie pieniędzy za zróbka, dla kogo to będzie? To wszystko dla dzieciów. Ja tak z serca życzę JW. panu, aby wziąć tych zróbków, bo się będę przyznał, iż mam kupca na nie. Jak zaś tu zostaną, to może który nogę złomić, albo mu się co stać. Na co chować?... Co to na zimę koń wykosztuje? A na wiosnę, co z nim robić?... Do fornalki, szkoda!... Pod wierzchem?... to Jaśnie pan ma dereszkę, co chodzi jakby nie wiedzieć co?... Lepiej pieniądze schować do kieszeni albo do skrzynki, to one sobie tam będą leżać, a nie trza im dać ani owsa, ani siana.

*Pan T.* Może i dobrze radzisz, mój Mosku, to i te zróbki weźmiemy.

*Mosiek.* A te dwie kobyły gniade, co się nazywają jemościne, czyli, bez urazy, Jaśnie Wielmożny pan weźmie?

*Pan T.* O! co tych to wziąć nie mogę. Dałbym sobie gdybym klacze jejmościne, któremi jeździ do kościoła, sprzedawał!!... Wreszcie, to są bardzo dobre bydłta do pracy i do przychowku.

*Mosiek.* Dobrze!... to się wie, że są dobre, ale czy to tylko jedne na świecie dobre? Ja takie dobre kupię JW. panu dwiesta na jarmarku. A jak Jaśnie panie będzie widzieć inne jeszcze więcej feine jak te, to będzie mi Jaśnie pan pięknie podziękować. Są tu u jednego pana kobyła i ogier. Ona ma siedm lat swoich, a ogier będzie starszy, ale to nic nie wadzi. Ten ogier to pochodzi od jednego xiążęcia z samój Moskwy, co był w Turkach, i ten ogier jest z Turków czyli z Turki. A ten xiążę, miał syna, tak jak i Wielmożny Jaśnie pan ma syna, i ten panicz bardzo wielki, to tego ogra wymienił na taką fuzyję, zwyczajnie piscelet do strzylania i fajkę z merszaumu do cygara. I potem ten ogier poszedł do jednego szlachcica na wieś. Ale co miał szlachcic z takim ogrem robić?... na co mu ogier?.. Tak sprzedał mu dla jednego pana co miał taką kobyłę z łysiną. I ten pan obaczył w kościele te dwie kobyły Jaśnie Wielmożnego pana, i możeby się zamienił. Ale powiadam Jaśnie Wielmożnemu Pauu, że ja taki ogier, coby był echt z Turków, jesczem ani widział. Jak on stoi, to nóżką grzebie, a będzie rzył cały dzień. Auf mein munes! Cobyto były za zróbki po takim ogierke!! Już ja się chcę podjąć ten interes zrobić dla Jaśnie Wielmożnego Pana.

*Pan T.* Niechęć, stanowczo niechęć pozbywać się moich klaczy, wolałbym ogiera kupić, jeżeli jest w istocie piękny.

*Mosiek.* Co to jest w istocie? proszę Jaśnie Wielmożnego pana! On dziesięć razy więcej piękny!! kiedy mówię Jaśnie panu, to mi trzeba dać wiarę. Na gotówkę, to ten pan będzie chcieć bardzo wiele, a jak się zamieniać, to nie damy tylko kobyły. Ze dwoje kobył

to na rok będzie najwięcej dwoje zrebęta, a wiele będzie z ogiera?

*Pan T.* Zobaczymy wreszcie, co moja żona na to powie? W każdym razie bądź gotów na Wtorek, bo rano wyjedziemy.

### **Rozmowa pana T.... z Żoną.**

*Pan T....* Mówiono mi, że pan X... ma do pozbycia sliczny jałownik szwajcarskiego bydła; chciałbym się z nim na jarmarku widzieć i dla mojej żonki oborę skompletować. Kupiwszy np. dziesięć sztuk jałówek i jałownika, można wkrótce przyjść do bardzo pięknych krów szwajcarskich.

*Pani T....* Oh, przepraszam! bo ja wcale szwajcarskich krów zaprowadzać nie myślę, tylko holenderskie. Mądry p. X...! Chce się pozbyć krów szwajcarskich, i wiedział na kogo trafić!! Jak w dym do ciebie, bo zna twoją dobroduszość. Już ja nie potrzebuję, abys mi krowy kupował. Nie lubię kiedy mi się kto w moje gospodarstwo wtrąca! Ja się do pola nie wdrażę, chociaż i tam przydałoby się nieraz, abym wejrziała, bo co się i tam dzieje, to niech Bóg broni!!

*Pan T....* Moja żono, ja chciałem uprzedzić tylko życzenie twoje w zaprowadzeniu nowej obory, ale skoro wolisz bydło holenderskie, to się o niego postaramy. Będzie zapewne p. M... na jarmarku, to się go zapytam.

*Pani T....* Dla czegoż koniecznie na jarmarku? Jeżeli tylko chcesz po to jechać do Dąbrowej, to cię zupełnie uwalniam. — Nic tak pilnego!

*Pan T....* Mam w istocie inne powody;... bo właśnie, chciałem ci mówić, iż twoje klacze należałoby sprzedać lub zamienić, bo jedna już stara i utyka, a

boję się nawet czy nie dychawiczna, a druga chimeryczka i może być kiedy nieszczęście. Wolałbym raczej kilkaset złotych dołożyć a kupić parę młodych i rośłych koni, któreby ci służyły i na wieś i do miasta.

*Pani T.* . . . . Wcale nie, mój mężu, bo jestem zupełnie z moich koni kontenta. Spokojne, łagodne i mocne, jeszcze kilka lat posłużyć mogą, a potem pójdą do stada na łaskawy chleb. Z twojemi końmi możesz sobie robić co ci się podoba, i do twojego gospodarstwa się nie wtrącam, ale nie lubię, kiedy mi się kto w mój zarząd kobiecy wdaje.

*Pan T.* . . . . Ja tylko proponuję, ale się nieupieram i jeśli sobie nie życzysz, to je zostawię, a wezmę tylko dwa żółtki siwe i braki z fornalek.

*Pani T.* . . . . Jakto? żółtki siwe po klaczy Jasia. Oh! co na to, to nie pozwolę! Chłopczyzna tak się cieszy swoim przychówkiem, a tybys śmiał mu je sprzedawać. Wybacz, ale tu prawa ojca muszą ustąpić prawom matki, która jest bliższą i czulszą dozorczynią interesów dzieci.

*Pan T.* . . . . Więc z szénże pojedę do Dębrowej?. Z dwoma wywłokami fornalskiemi?

*Pani T.* . . . . Z czem ci się podoba; ale moje klacze i żółtki mego syna, nie są na sprzedaż. Wreszcie, nie wiedziałam wcale o projekcie twoim wyjazdu, a wątpię nawet, abys miał ważne powody jechania! Po co? W czasie siewu? w chwili kiedy roboty pilnego oka pana wymagają. Nie wdaję się w twoje plany, ani też ciążę nad twoją wolą, ale wprost jestem przeciwna twojemu projektowi jechania na jarmark, i spodziewam się iż nie pojedziesz.

*Pan T.* . . . . Ale kiedy mam interesa, może dałoby

się u kogo na ten święty Jan okrągłęjszą sumkę wypożyczyć i te parszywe dłużki pospłacać.

*Pani T. . . . .* Lepiej było tych dłużków nie robić, jak się turbować o ich spłacenie. Ojciec mój, oddał mi w posagu wieś czystą i bez grosza długu; jeżeli ją więc odłużyłeś, to nie wiem jakie do tego miałeś prawo? . . . Ale wreszcie, do pożyczania sumki, nie koniecznie trzeba szukać jarmarku, można udać się do sąsiada pana F. . . . . a ręczę, iż nie odmówi.

*Pan T. . . . .* Właśnie, że odmówił.

*Pani T. . . . .* I bardzo słusznie, bo wiedział, że wieś jest moją i że ja tylko hypotekę dać mogę. Mnie on nie odmówi.

*Pan T. . . . .* Wreszcie i nie jechałbym na jarmark, skoro sobie tego nie życzysz, ale obiecałem panu D., że z nim pojedę, więc trudno się teraz cofać.

*Pani T. . . . .* Bardzo łatwo się wytłomaczysz, gdy powiesz, iż sobie tego nie życzę, i że cię prosiłam abys nie jechał.

*Pan T. . . . .* Jakoś nie będzie dobrze, bo i tak ludzie mówią, iż ci zbyt ulegam, że chodzę w czepecu. A chociaż to nie prawda, bo jesteś najlepszą i najdelikatniejszą żoną, jednak złe języki, zaraz całą rzecz na złe tłumaczą. Może byłoby lepiej abym pojechał na ten nieszczęśliwy jarmark i uniknął szyderstwa sąsiadów.

*Pani T. . . . .* Otóż widzisz, jakie są skutki pożyczania z panem D. . . . . i jemu podobnymi! Zaraz cię huntują przeciw najświętszemu obowiązkom męża i ojca rodziny! Wstydzisz się ulegać radzie żony, która ci oddała życie, majątek, szczęście swoje i przyszłość, a nie wstydzisz się ulegać wpływowi niebezpiecznych zdradliwych przyjaciół?!! Czyli to uczciwie ze strony pana D. . . . wtrącać się w stosunki małżeńskie, rujnować



zgoda i pokój w rodzinie! Wyciągać mężów cudzych na jarmarki?... Przedrzwiewać należny mężów dla żon szacunek?!... Dobrze! jedź! gdzie chcesz i kiedy chcesz, rób co się podoba, sprzedaj, rujnuj majątek żony i dzieci, ale ja sobie poradzę i oddam się także pod opiekę prawdziwych przyjaciół. Co się zaś tycze pana D... to się z nim rozmówię i za pierwszą jego tutaj bytnością taką mu scenę zrobię, iż się tu więcej niepokaze. Wolno mu być despotą, tyranem, względem swojej żony, ale nie ma prawa mieszać nam tu pokój i zgodę. Albo jeszcze lepiej się pomszczę..... Pojadę zaraz do jego żony i opowiem jego sprawy, a dopiero wiecznie żałować będzie, że mnie zaczepił.

*Pan T.....* Ale moja żono! przysięgam ci na wszystko, że on ani słowa nie mówił!

*Pani T.....* Nie wierzę, bo sam go przed chwilą oskarżyłeś.

*Pan T.....* Ale to nie on, przysięgam ci.

*Pani T.....* Czy on, czy nie on, wszyscy mężowie postanowiliście sobie, dokuczać nam. Niechaj więc jeden za wszystkich cierpi, a pana D..... jako cel mojej zemsty wybieram.

*Pan T.....* Kiedy już nie pojadę na jarmark, niech diabli wezmą jarmarki! Ani myślę jechać, pocobył się miał włóczyć!

*Pani T.....* Owszem, jedź, kiedy chcesz! baw się, bo się tu zapewne z twoją żoną nudzisz. Jedź i zaraz nawet—mnie to wszystko jedno i w żadnym razie, nie chcę mieć nad tobą przewagi. Jesteś panem twojej woli!

*Pan T.....* Ja wiem, moja żono, żeś jest najśłodszą osobą, ale się unosisz czasem niepotrzebnie! O co się tu było gniewać na pana D....., który wszędzie z takimi pochwałami o tobie mówi, i nietylko z cnót

twoich cię sławi, ale i o wdziękach twoich mówi z uniesieniem, tak, że mógłbym być zazdrosnym. Szczerze ci mówię, iż masz w nim wielbiciela!...

*Pani T.*.... A dla czegoż na niego składasz powód twego wyjazdu.

*Pan T.*.... Ale nie na niego, tylko mówiłem ci, że mu obiecałem.

*Pani T.*.... Spodziewam się, iż przed daniem słowa, mógłś mi się zapytać, nie o pozwolenie, bo jesteś panem twojej woli, lecz o radę.

*Pan T.*.... Prawda, w tem zgrzeszyłem, ale jakoś przyrzekłem panu D. bez namysłu. Ale już nie pojedę, skoro sobie nie życzysz. Powiem, że słaby jestem.

*Pani T.*.... Nie potrzebujesz używać wybiegów, lecz powiedz, iż dla mojego towarzystwa zostajesz...

*Pan T.*.... To nie wybieg, ale będzie owszem prawda, gdy powiem że *słaby*, bo różne są słabości na świecie, fizyczne i moralne. Ja słaby jestem dla mojej żony!

*Pani T.*.... Tego ja nie potwierdzę, ale biorę za złośliwy z twój strony przygryzek. Wreszcie mężowie dzisiejsi, wszelką dobrą radę żon odrzucają, bojąc się uchodzić za podbitych i zawojowanych, jak zaś używają swojego przywileju władzy i zwierzchnictwa, to widzimy w skutkach. Kto bowiem traci majątek? kto długi robi? kto dumą podżegany, pnie się do stanowisk, które mu opatrzność odmówiła? Kto?... mężowie! A kto za to cierpi? biedne żony, ofiary despotyzmu mężów.

*Pan T.*.... Może być w tém część prawdy, ale ty moja żono nie jesteś w tym przypadku.

*Pani T.*.... Bronię się chociaż słabo przeciw możnym dzisiejszego obyczaju następstwom.

## Pan T..... i Mosiek.

(Przed stajnią.)

*Mosiek.* Już jestem gotów, Jaśnie Wielmożny panie. Czy mam wziąć te klacze i żróbki?

*Pan T.....* Wiesz Mosiek? Ja podobno tych klaczy nie sprzedam — żal mi ich!...

*Mosiek.* Na co ma Jaśnie pan żałować?... to są ko-  
były stare. Aj, wej mir! ja takich sto będę sprowadzić  
na to miejsce.

*Pan T.....* Nie, nie, mój Mošku, namysliłem się i  
nie sprzedam.

*Mosiek* Może Wielmożna Jejmość nie pozwala.

*Pan T.....* Ej, głupis! przecieżbym sprzedał gdy-  
bym chciał, i Jejmość by prawa nie miała bronić, ale  
dobre klacze, wolę je zostawić. Może je wezmę na  
przyszły jarmark.

*Mosiek.* Ny, kupiec co ma ogierka z Turków, czekać  
nie będzie, ale kiedy Jaśnie pan nie chce, to weźmie-  
my żróbki.

*Pan T.....* Zapewne, byłoby dobrze, ale jakoś my-  
ślę że młode, to wolę je chować.

*Mosiek.* Więc z czémże Jaśnie pan pojedzie?

*Pan T.....* To téż właśnie że nie mam z czém,  
więc myślę, że i nie pojedę. W polu siewy, fabryki  
przy dworze. Jedź ty sam Mošku!

*Mosiek.* A po co mi jechać?... Jakbym jechał, to  
tylko do kompanii Jaśnie Wielmożnego pana, i co pra-  
wda, to się aż kłóciłem z moją żoną, co niechciała mi  
pozwolić abym jechał bez interesu, ale jój powiedzia-  
łem, że jadę przez miłość do Wielmożnego Jaśnie pa-  
na, co jest nasz pan, tak mi pozwoliła. Moja żona jest

dobra, niema co powiedzieć, i nie ma drugiej na świecie. Ale jak co niechce, to nie chce.

*Pan T.* . . . . To twoja żona tak cię ostro trzyma, mój Mošku? Powiedz mi prawdę?

*Mosiek.* Niech Pan Bóg zabroni, powiadam Jaśnie Wielmożnemu panu, ona jest z wielkiej familii, a ojciec jej był z Moremoreine, co miał sklep swój z korzeniem na Wiśniczu i pierzem handlował. Więc wziąłem od jej ojców 2000, a ona mi teraz mówi, że wziąłem po niej wielki majątek.

*Pan T.* . . . . I cóż to wielkiego 2000?

*Mosiek.* No, z przeproszeniem Jaśnie Wielmożnego pana, na żyda to dosyć, a na pana to i to nie wiele co Jaśnie pan wziął. Auf meine munes! pan by był wziął jaką z wielkim majątkiem, bo na taką figurę jak Jaśnie pana, to nie jest szpas.

*Pan T.* . . . . Mój Mošku! zostańmyż więc obadwa w domu, aby się nasze żony nie gniewały.

### **Pan D.... u państwa T....**

*Pan D.* . . . . (wysiadając z Nejtyczanki.) Stawiam się na umówiony termin! Jakże się masz Tomaszu! Ach, żebyś wiedział ile miałem kłopotów przed wyjazdem, ile rozmaitych przeszkód i trudności, to powiadam ci, moje serce, iż gdyby nie dla twojej kompanii, i nie dla dotrzymania danego ci słowa, nigdybym był na ten jarmark nie jechał. Słowo ci daję, iż jakby się wypadki niepomysłne na mnie sprzysięgły! . . . kierat mi się u młocarni złamał; ekonom mi zachorował; karbowego złodzieja odpędzić musiałem a to wszystko na wyjezdne; ale to fraszka, kiedy Bóg daje zdrowie! — A ty sercuńku jakże się miewasz? . . . a Jejmość Dobrodziejka? dzieci i cała familijka? . . .

*Pan T.* . . . . Dziękuję ci, mój drogi Dyonizy, Bóg ci zapłać. Cieszę się, żeś przyjechał. Pójdźże do pokoju, a ja tu końmi twojemi zarządzę.

*Pan D.* . . . . Ale poczekaj sercuńku! bo są i konie jarmarczne, które za mną tuż idą; więc te wpakujemy do Austeryi, hoby się w twojej stajni nie zmieściły.

*Pan T.* . . . . Bądź spokojny, już ja ich tu pomieszczę, bo moje fornalskie postawię w krowiarni. Wszystko będzie dobrze.

*Pan D.* . . . . Ale bo ja, mój robaczku, mam koni dwanaście — klacze, ogiery, wałachy i źrebięta, więc cię najeżdżam jakby szwadronem huzarów.

*Pan T.* . . . . Nic to nie szkodzi, będzie na nie miejsce! Wypoczną parę dni i będą wyglądać jakby dopiero wyszły ze stajni.

*Pan D.* . . . . Co mówisz sercuniu, parę dni! Jutro ruszamy ze świtem; już nawet trzeba było być w Dąbrowej, bo nam żydy najlepsze stajnie połapią.

*Pan T.* . . . . Ej, będzie na czas, tém bardziej, iż ma być nader lichy jarmark tego roku. Jędrzejów zabił Dąbrowę, i może byłoby i lepiej gdybyśmy zaczekali na jarmark w Jędrzejowie!

*Pan D.* . . . . Ale co gadasz Tomaszu, sercuniu! w Jędrzejowie? za Wisłą?! komory! paszporta, opłaty! Do czego!!... kto ci plotek nagadał?! Owszem jarmark będzie *ut sic* w Dąbrowej! Już spotkałem żydów z Łęcznej z tabunami, a szlachta wie dzie ładne czwórki; kupcy jadą z Krakowa, Tarnowa i Bielska, a w dodatku będą i komedyanci, bo wymijałem bryki i furgony naładowane różnemi ich materklasami. Tak więc, sercuniu, będzie ogiasty jarmark i uciecha.

### **Pan T..... i pan D..... w pokoju.**

*Pan T.....* (pomieszany). Siadajże, mój Dyonizy!.. Przepraszam cię!... Ja tu zaraz przyjdę, tylko zadyponuję.

*Pan D.....* Dobrze, sercuniu! idź a wracaj bo mnie zaprowadzisz do twojej żony, do której mam od mojej tysiąc ukłonów, i jakieś książki, formy na suknie i coś tam jeszcze. Ale, licho wie, co!! Słowem, że mam to wszystko w skrzynce od bryczki. Każ mi ją przynieść, abym się z komisurą uścił, a razem hołd twojej pani złożył i rączki ucałował.

*Pan T.....* Ja tu zaraz wrócę. Tymczasem zaś masz tu cygara; mają być dobre... przekradkowe!...

*Pan D.....* Mniejsza o to jakie są, bo ja u siebie grajcarkowe smędzę, i zdają mi się wyborne! a któżby na droższe wystarczył. A mnie wychodzi na dzień trzydzieści cygar, oprócz tych co lokaj ukradnie dla siebie, dla kucharza i furmana. — No, idź serce, idź, a jak wrócisz, to mam tysiąc rzeczy ci powiedzieć.

### **Pan D, Stary Wojciech i Służący domu.**

*Pan D.....* Jak się masz stary! co tu u was słychać?..

*Stary Wojciech.* Całuję stopy Jaśnie pana, nic złego nie słychać dziękować Bogu. — Paniczów się spodziewamy na święta.

*Pan D.....* A ty twoich paniczów kochasz? Wojciechu!..

*Stary Wojciech.* Jużci muszę ich kochać, bo ich wypiastowałem.

*Pan D.....* A któregoż kochasz najwięcej? powiedz szczerze!

*Stary Wojciech.* Wszystkich kocham, ale Jasia, tego co najstarszy, najwięcej. Będzie mu teraz piętnaście lat. Ale ładny panicz, i takie to spokojne jak nasz pan, nikomu się nie naprzykrzy.

*Pan D.* . . . . A młodszy?

*Stary Wojciech.* Młodszy do naszej pani podobni. Co ci, to prędkiej komu dokuczają.

*Pan D.* . . . . Rozumiem; — a powiedzże mi czy już gotowi jesteście na jarmark? Czy pana upakowałeś?..

*Stary Wojciech.* Kiedy nasz pan nie jedzie. Miał jechać, ale się tam coś odmieniło. — Miał i żyd Mosiek naprzód z końmi jechać, ale i żyd już nie jedzie.

*Pan D.* . . . . Ale przecież mieliśmy obadwa razem jechać!

*Stary Sługa.* Ha! może pojedzie, kiedy Jaśnie pan przyjechał. Ale wątpię, chyba by trzeba nadrobić jako z Jaśnią panią.

*Pan D.* . . . . Rozumiem; — no, mój Wojciechu, daj mi ognia i przynieś mi skrzynkę z bryczki, co jest na przodzie.

*Stary Wojciech.* Służę Jaśnie panu (daje ognia i odchodzi).

### **Pan D. . . . . i pan T. . . . .**

*Pan T.* . . . . Przepraszam cię, mój Dyonizy, że cię tak długo samego zostawiłem.

*Pan D.* . . . . Nic to, sercuniu! bo ja się tu ubawiłem ze starym Wojciechem, który z miłością opowiadał mi o twoich synach i o bliskiej nadziei powitania ich na święta.

*Pan T.* . . . . Pocziwy człowiek! Dwadzieścia lat u mnie służy, a teraz już sług takich nie ma. Łatwiej dzisiaj o żonę jak o dobrego służącego.

*Pan D.* . . . . I o dobrą żonę nie łatwo, sercuniu! Jakos to nasienie dobrych żon, to jest rozsądnych a uległych, wyginęło. Może mają one dzisiaj więcej nauki, ale mniej rozumu; — więcej uporu a mniej stałości, więcej egoistycznego skąpstwa, ale mniej szlachetności i rządu. Jakże ty o tém myślisz, Tomaszu?

*Pan T.* . . . . Choćbym i ja tak myślał, to cóż na to pomogę. Są dobre i złe żony, jak bywało zawsze tak i teraz.

*Pan D.* . . . . Jest téż i nasza w tém wina, bo nieumiemy zrobić wyboru, i biorąc żonę nie pytamy *jaka jest?* ale *wiele ma?* Sprzedajemy naszą wolność, naszą powagę, a często szczęście całego życia za lichy posag! . . . O to nam się tak zdaje, sercuniu! że jak posagiem żony spłacimy część siostry lub brata, albo długi kawalerskie i oczyszcimy wioskę, to będziemy spokojnymi i szczęśliwymi! a to bajka; bo zła żona jest najgorszym wierzycielem, który ci ciągle na karku siedzi i ciągle się o długi upomina. Jesteś jej dłużnym życia, zdrowia, pracy, majątku, a lichwa, której się ona od ciebie domaga, przewyższa nieraz kapitał. — Co, sercuniu?! . . .

*Pan T.* . . . . Bywa i tak czasem, ale co robić! Nie można z tego tworzyć ogólnej zasady!

*Pan D.* . . . . Juźci, nie ma reguły bez wyjątków, ale mówi się o ogólnym dzisiaj obyczaju! Młody człowiek zamiast uczciwie zapracować i przez pracę dorobić się grosza, weli, aby mu psim smędem przyszedł krocie za żonę. Mówi sobie: „Musiałbym dwadzieścia lat pracować na 200,000, a tu raz skłamię przy ołtarzu, służąc wiare małżeńską, i juźci majątek jakbym znał.“ — Oj, tak jest sercuniu, tak! Ale z téj materii przechodząc do innej, coś nie widzę, abys się go-



tował do wyjazdu. Pokażno mi twoje konie jarmarczne!...

*Pan T.*.... Moje konie?... Widzisz, mój drogi, że szczerze ci mówiąc, nie bardzo i mam co wyprowadzać na jarmark. Te klacze mojej żony, są doskonałe bydlęta, lepszych nie dostanę; inne zaś moje konie, są za młode. A wreszcie, mówiąc ci prawdę, jakoś słabym jestem!.. Od wczoraj czuję się nawet słabszym i żona troskliwa o moje zdrowie, prosi mnie abym nie jechał.

*Pan D.*.... Widzę, żeś słaby, sercuniu! i sam się o ciebie boję, lepiej więc nie jedź dla pokoju twojej żony. Ja za godzinę wyruszę w dalszą podróż.

*Pan T.*.... Ale przecież objad zjesz z nami, kochany Dyonizy!

*Pan D.*.... Na obiad nie zostanę, ale każ mi przynieść wódki i chleba z masłem, a to mi do popasu wystarczy. Zatrzymam się oczywiście w Tarnowie.

*Pan T.*.... Jakże żałuję, iż ci nie mogę towarzyszyć!... Ale są okoliczności!!...

*Pan D.*.... Rozumiem, zupełnie rozumiem! „Są okoliczności, gdzie i Holofernes nic nie pomoże.“

*Pan T.*.... To, nie!... tylko, że widzisz, iż się to czasem tak złożą interesa!...

*Pan D.*.... Ale wierzę, wierzę... Każda Teresa, ma swoje interesa... Oj, ta Teresa, najgorsza!.. No, dawaj wódki i bywaj zdrów sercuniu!

*Pan T.*.... Ale był i ot laskaw, obiecać się mojej żonie. Czy nie pójdziesz?

*Pan D.*.... Owszem!... kiedy pozwala to jęj chętnie będę służył... tylko niechże zabiorę z sobą komisa... Zaraz... abym czego nie zapomniał!.. 1-mo Ukłony... no, to się ma rozumieć samo przez się... Teraz 2-do: szpargały francuzkie... dobrze... są.

3-tio : formy na suknią..... Aj do djabła!... co mi to żona zrobiła!!... Patrzaj, pocięła mi tygodnik rolniczy krakowski na formy, a ja go tak skrętnie zbieram. No! u tych żon, co na placu, to nieprzyjaciel, a najczęściej mąż na placu. Ale mniejsza o to, muszę w Krakowie numer ten dokompletować... Jeszcze coś było czwartego do oddania!!... Cóż było u licha czwartego?... Aha!.. jest... jakiś Przepis smażenia róży i poziomek... No, jest już wszystko!.. Pójdźmy!!... Prowadź-że mnie, a przepros za jarmarczną moją tualetę...

### **Pan T..... i pan D..... u pani T.....**

*Pan D.....* Moje uszanowanie składam Wać-pani Dobrodziejce, a od mojej żony tysiącne wyrazy i więcej jak to; ale na coś mówić, kiedy dopełnić komisju nie można.

*Pani T.....* Cóż takiego?... może da się powiedzieć!..

*Pan D.....* Mówić to za mało, bo ja się trzymam zasady naszego wieszczka (Mickiewicza), który napisał: „W słowach tylko chęć widzimy, w działaniu potęgę.“

*Pani T.....* Ale cóżto za *avant propos*, do rzeczy może małej wagi. I jakież komis, takiego wstępu potrzebuje.

*Pan D.....* Oto, krótko mówiąc: Żona moja kazała mi Wcpanią Dobrodz. najczuliej uściskać, ani pan ani mąż na to nie pozwoli, przeto muszę schować komis do kieszeni, a w to miejsce złożyć u nóg Wpani Dobrodz. dzieła pana czy tam pan George Sand, których moja żona nie czytała — 2-do formę na stanik wyciętą z mojego agronomicznego dziennika; 3-tio re-

ceptę na smażoną różę i poziomki, z warunkiem próbowania kiedyś tych łakociów.

*Pani T.* . . . . Bardzo panu dziękuję, i proszę za powrotem do domu, najuprzejmiej moją przyjaciółkę, żonę pańską, pozdrowić i uściskać, a realizacja tego ostatniego komisu, żadnej już nie ulegnie trudności.

*Pan D.* . . . . Kto wie?!.. Żony mają czasem kaprysy. Może i moja zagniewana, iż się włóczę po jarmarkach, będzie się drożyć. Wątpię jednak, bo zostawia mi zupełną wolność ruchów i wyznam że jarzmo jój jest lekkie, a berło jój słodkie.

*Pani T.* . . . . Panowanie żony jest łatwe nad tak uprzejmym mężem jak pan jesteś.

*Pan D.* . . . . „Łatwe“; tego nie powiem, bo ja szlachcic polski skłonny do buntu; i gdyby mnie moja żona w uczciwej wolności i swobodzie krępować chciała, tobym wznioł sztandar mężowskiej powagi i władzy, a mojej królowej zacytowałbym artykuł pierwszy a razem ostatni konstytucyi małżeńskiej, iż żona mężowi swojemu uległa być powinna. Ale do téj ostateczności nigdy nie przyszło, bo moja żona trzyma się w granicach konstytucyjnych.

*Pani T.* . . . . Mylne pod tym względem masz pan wyobrażenia, i nietylko powiem, że mylne, ale gorszące, bo kobietę, żonę, matkę, oddajesz w rodzaj poddaństwa i niewolnictwa mężowi, kiedy przeciwnie ona jest tylko towarzyszką w podróży życia, współpracą, równe prawa mającą; i więcej nad to, bo jest panią mężowskiego serca i wpływa na jego wolę.

*Pan D.* . . . . Tak jest, Mościa Dobrodziejko! Masz pani zupełną racją, z tym wyjątkiem, iż towarzyszką w wędrówce życia, za swoim przewodnikiem iść powinna.

*Pani T.* . . . . Oh! co na to, to się nie zgodzę; bo jeśli przewodnik w przepaść żonę wiedzie, albo sam drogi nie zna, to miałaby żona iść za nim? . . . Nie, zaiste! wtenczas żona idzie swoją drogą, lub też męża za sobą prowadzi.

*Pan D.* . . . . Bywa i tak, niestety! iż się te role przemieniają; ale wtenczas biedny mąż, który się za rydwanem swęj żony, jak niewolnik wlecze, a biedniejsza jeszcze żona, iż bałwana za sobą ciągnąć musi, i chodzić z mężem całe życie jak z kulą więzienną. — Są jednak wypadki, iż żony przywłaszczają sobie władzę nad mężem dla samej tylko przyjemności panowania; a mąż jarzmo to przyjmuje przez miłość pokoju. Tam jest nieład i nieporządek, bo żona rządzić nie umie, a mężowi rządzić nie pozwala.

*Pani T.* . . . . Takich przykładów nie widziałam, przeto opowiedzieć panu nie umiem.

*Pan D.* . . . . Ale ja widziałem ich wiele i na doświadczeniu opieram moje twierdzenie. Ale teraz śmiem się zapytać czyli pani Dobrodz. nie masz jakich komisów do Dąbrowej?

*Pani T.* . . . . Czy pan jedziesz na jarmark?

*Pan D.* . . . . Prosto ztąd jadę, Mościa Dobrodziejko, mieliśmy nawet razem z mężem pani jechać, ale nieborak słaby . . .

*Pani T.* . . . . Jakto? . . . słaby? . . . nie wiedziałam. (do męża) Nie skarżyłeś mi się, abys był słabym.

*Pan T.* . . . . Owszem, wczoraj ci się do tego przyznałem.

*Pani T.* . . . . Dzieciństwa! Ja ci tylko mówiłam, że nie masz po co jechać, bo tu się gospodarstwo opuszcza, interesa zaniedbują, a ważnego powodu jechania na jarmark nie masz.

*Pan D.* . . . . Ale zabawiłby się sercunio! widziałby swoich przyjaciół, pogadałby z tym lub owym.

*Pani T.* . . . . Mąż najlepiej bawić się powinien w towarzystwie swojej żony, która jest najpierwszą jego przyjaciółką!

*Pan D.* . . . . No, proszę!. A moja żona sama mnie wyprawiała na jarmark: „Jedź, sercuniu, rzekła, zabawisz się; — będziesz w gronie braci twojej szlachty.— Pogardzasz, usłyszysz nie jedno; nauczysz się „i skorzystasz.“

*Pani T.* . . . . Oh! to mi piękna akademія na jarmarku! bardzo budujące muszą się tam toczyć rozmowy! Już jabym nie pozwoliła aby mój mąż korzystał z tych nauk. Bo i to co pan dotąd mówiłeś o stosunkach małżeńskich, jest dość dla wielu mężów niebezpiecznym.

*Pan D.* . . . . Przepraszam Wcpanią Dobrodz., iż ją zgorszyłem, a raczej, że mogłem zgorszyć jej męża.— Ale jego nic nie popsuje, bo jest zawsze zdania Wpani Dobrodz. i we wszystkiem się z nią zgadza. Nieprawdaż, sercuniu? Powiedz Tomaszu czy prawda?..

*Pan T.* . . . . Prawda, iż chętnie idę za rozsądną radą mojej żony.

*Pan D.* . . . . Więc gdyby ci radziła jechać na jarmark, tobyś pojechał? . . . .

*Pani T.* . . . . Mój mąż jest panem swojej woli.

*Pan D.* . . . . Rozumiem! To jest, że wolno mu wolę swojej żony wypełnić, i wolno mu nie chcieć jechać na jarmark, skoro sobie pani tego nie życzysz. — Wy panie, macie najwygodniejszy sposób wypełniania naszej woli, to jest każecie nam chcieć tylko tego czego sobie same życzycie. My pocieszamy się myślą, że nam

jesteście posłuszne wtenczas, gdy wy słuchacie tylko własnych swoich rozkazów przez nas ogłoszonych.

*Pani T. . . . .* Czy panowie tak łatwowiernymi jesteście, iż się dajecie oszukiwać? . . .

*Pan D. . . . .* Staremi dziećmi jesteśmy, Mościa Dobr. i żony nasze na pasku nas wiodą. Ale są wypadki, w których i ich wypadki kajdany lekkiemi się nam być wydają, jeżeli nam je ładna rączka przykuwa, i dla tego pojmuję, iż mój przyjaciel a godny mąż Wcpani Dobrodz. nigdyby swojej niewoli dla wolności poświęcić nie chciał, a i jabym chętnie w jego miejscu to samo uczynił.

*Pani T. . . . .* Jak pan przed chwilą przesadzałeś w zasadach mężowskiego despotyzmu, tak znowu egzagerujesz zasady uległości i poddaństwa.

*Pani T. . . . .* Mogę cię zaręczyć, moja żono, iż komplement Dyonizego jest szczerzy, bo on jeet wielkim twoim wielbicielem.

*Pani T. . . . .* I ja mimo przeciwności zdań, jestem pana Dyonizego szczerą przyjaciółką.

*Pan D. . . . .* Jeżeli się sprzeciwiam Wcpani Dobr., to tylko aby przedłużyć tak miłą z panią rozmowę i podziwiać to jasne widzenie rzeczy, płynność w wysłowieniu, i ten zapal w dyskusyi, który się zdradza tak pięknym na twarzy rumieńcem.

*Pan T. . . . .* No, hola! hola! mój bracie, bo się boję, aby się nie sprawdziło przysłowie: iż *kto się kłóci, to się kocha.*

*Pani T. . . . .* I kiedyż panowie jechać zamysłacie?

*Pan D. . . . .* Ja za godzinę wyjeżdżam, bo już czas.

*Pani T. . . . .* A jakże, czyliż pan na mojego męża nie poczeka? . . .

*Pan D. . . . .* A czy jedzie mąż Wcpani Dobrodz.?

*Pani T.* . . . . Oczywiście że pojedzie dla miłego z panem towarzystwa.

*Pan T.* . . . . Bardzo mi jest miłe towarzystwo Dyonizego ale nie chciałbym opuszczać, w tej chwili gospodarstwa i fabryk! . . .

*Pan D.* . . . . No, nie dróż się, tylko się wybieraj, wszak sam mówisz iż trzeba żony słuchać, kiedy dobrze radzi, a piękna i najzaciejsza twoja żona nigdy źle nie radzi.

*Pani T.* . . . . Bardzo mi jest miłe to świadectwo z ust WWC pana Dobr., to też zaręczam panu, iż mam wysoki dla niego szacunek.

*Pan D.* . . . . Skoro więc, państwo pozwolą, to zostanę na obiad, a po obiedzie zabieram mego pupilla i jedziemy, obiecując się najdalej za cztery dni z powrotem. — A teraz pozwól pani abym jęj sliczne rączki ucałował!

*Pani T.* . . . . Do zobaczenia! — Każę więc wczesny obiad przygotować abyście się panowie nie spóźnili. —

### **Pan T. . . . . i Pan D. . . . .**

*Pan D.* . . . . A co Sercuniu! wybawiłem duszę twoją z domu niewoli! . . . przynasz iż gracko rzecz poszła! .

*Pan T.* . . . . Ale za zbyt szorstko rzecz indukowałeś i wypowiedziałeś mojęj żonie szereg gorzkich prawd. — Bałem się sceny, bo kobiecie nie należy nigdy całej prawdy mówić.

*Pan D.* . . . . Nic to braciszku! Jeżeli zadałem bliźnę tom ją zagoił pochlebniemi słowy. — Kobieta zniesie wszelką prawdę, byle podaną w karmelku. — Skutek usprawiedliwił moje środki.

*Pan T.* . . . . Trafiles na dobre usposobienie. Ale te.

raz już ani słowa nie mów w téj materyi bo musiałbym się rozpakowywać.

*Pan D.* . . . . Oh! mój biedny niewolniku! lituję się nad tobą, ale cię nie żałuję! któż widział żonę tak znarowić!! Ona ma dobrą naturę, kobieta światła, szlachetna, skłonna do dobrego, ale ty Sercuniu, zamiast lejce uprzęgu małżeńskiego trzymać, chodzisz jak wierzchowiec damski pod angielskim siodłem. Mąż powinien być grzeczny, uprzedzający, delikatny, wspaniały, ale słabym mu się być nie godzi. Żona szacunku niema dla męża mazgaja i nieumiejącego należnéj utrzymać powagi.

*Pan T.* . . . . Tak ci się to zdaje mój Dyonizy, ale gdybyś był w mojem położeniu tobyś i ty na kwintę spuścił.— Cały majątek jest mojej żony, ja małego do wspólki wniósłem.

*Pan D.* . . . . I cóż z tego?! Przecież się twój żonie nie sprzedałeś, tylko się z nią ożeniłeś, — a więc i żona i jej majątek jest pod twoją władzą. — Szanuj i żonę i majątek, bo uczciwość ci to nakazuje, ale nie bądź niewolnikiem ani żony an jej majątku. — Oboje twemu mądrym zarządowi Opatrzność powierzyła. — Ale dość tego! wybieraj się bo zaraz po obiedzie ruszamy. — Stary Wojciech cię tu spakuje a teraz pójdź zobaczyc moje konie.

## Sceny we dworze u starego kawalera.

**Pan H.** . . . . **stary kawaler i Błażej lokaj.**

*Pan H.* . . . . Czy Janek okuł już konie?

*Błażej.* Ja niewiem Wielmożny panie, bo się do stajni nie wtrącam.<http://rcin.org.pl>



*Pan H.* . . . . A do czegoż się wtrącasz gapiu?

*Błażej.* Do niczego Wielmożny panie, tylko do pokoju i koło pana zrobić, i co mi pan-każe, to tyle!

*Pan H.* . . . . Trzeba powiedzieć pani Wyteralskiej aby mi kazała na drogę zabić kurasa i niech kuchta upiecze.

*Błażej.* Proszę Wielmożnego pana, ja jój tam mówić nie śmiem, bo strasznie zła i jak jój co mówić, to od ostatniego zwoła.

*Pan H.* . . . . Ale kiedy ja ci każę! słyszysz?..

*Błażej.* Słyszę Wielmożny panie, ale ona mnie nie słucha, chyba żeby jój sam Wielmożny pan powiedział,—Mówiłem jój o bieliznę dla Wgo pana, to mnie tak skrzyczała i w końcu rzekła: „nie dam bo nieuprana“ więc Wielmożny pan pojedzie w drogę o jednej koszuli.

*Pan H.* . . . . Ale cóż ty osłe pleciesz?! Na dwa tygodnie o jednej koszuli?..

*Błażej.* O jedneję Wny panie, o jedneję bo pani Wyteralska dać nie chce drugieję.

*Pan H.* . . . . No widzicie!! to głowę sobie trzeba urwać z temi.—Zawołaj mi tu gospodyni!..

### **Błażej u Wyteralskiej.**

*Błażej.* Niech pani idzie do pana, bo pan woła.

*Wyteralska.* Widisz go! „pan woła“ psa się woła i ciebie, ale nie mnie. — Już dwa lata służysz we dworze, a nie nauczyłeś się polityki. — Gada sobie chłoposko, jakby do swojej równej!! Czy nie wiesz co ja jestem, i jaki mi się honor należy?.. Cymbał! „pan woła“ niby ja to na zawołanie?.. odrazu!!

*Błażej.* Ja tam nie wiem, ale mi pan kazał pani zawołać.

*Wyteralska.* To powiedz osle panu, że pani Wyteralska nie ma czasu i kwita z myta, rozumiesz?

*Błażej.* Ej, co mam rozumieć! a potem mnie tam do tego nic, powiem że pani nie chce i basta.

*Wyteralska.* To się nie wtykaj drugi raz, a nie przychodź mi tu z grubiańskim słowem.

### **Błażej u pana H. . . . .**

*Błażej.* Pani Wyteralska powiedziała iż nie przyjdzie, bo niema czasu.

*Pan H. . . . .* Jakże ty śmiesz osle przychodzić do mnie z taką odpowiedzią?.. wiesz co to znaczy: „nie przyjdzie?..“ Zaraz mi idź na odwrót aby przyszła.

*Błażej.* Już przepraszam Wgo pana bardzo pięknie, ale nie pójdę, boby mnie zabiła.— Wolę iść dwie mile za jakim sprawunkiem jak do pani.—Jak Wny pan po nią pójdzie to przecież prędkiej usłucha.

*Pan H. . . . .* Nie biedażto z temi ludźmi! Tylko się kłócą od rana do wieczora, a człowiek nie ma posługi.— Błażej, pójdź sam! pakuj! włóż mi nowy surdut do walizy, rozumiesz?!

*Błażej.* Kiedyśmy go przecież zapomnieli, u tych państwa, co Wy pan był na imieninach.

*Pan H. . . . .* Ah! do palarusza!! prawda! to daj mi co innego!

*Błażej.* Cóż Wny pan każe?..

*Pan H. . . . .* Jaki inny;... przecież mam więcej surdutów!...Daj mi zielony!

*Błażej.* Kiedy go krawiec nie odniósł, co pan kazał do niego guziki przyszywać.

*Pan H. . . . .* Ah, cóż to za bieda z temi majstrami nigdy na czas nie zrobią a każą sobie drogo płacić.— No to daj mi szaraczkowy.

*Błażej.* Szaraczkowy Wny pan ma na sobie.

*Pan H.* . . . Prawda! zapomniałem, ale jakiś wyterany, poplamiony. . . . Widać że go ty nigdy nie chędożysz!

*Błażej.* A mamto szczotkę Wny panie. Tyle razy spraszałem się Wmu panu, a dotąd Wielmożny pan nie sprawił.

*Pan H.* . . . Przecież masz starą. . .

*Błażej.* Cóż że mam, ale nie bierze, bo tylko samo drzewo.— Tyle tylko omietę suknię, co w rękę napluję i kurz zbiorę z wierzchu a ugłaskam.

*Pan H.* . . . No, nie gadać mi wiele bo ja tego nie lubię.—A teraz daj mi inne suknie, a pamiętaj dobrze układać abys nie pomiął. — Po bokach włóż karty, tylko je obwiń w ręcznik. . . Oj osle! cóż ty za karty dajesz?.. to poniterki. . . a ja ci mówię karty! karty! słyszysz?.. te co są na biurku!.. Całą paczkę! Dzieścić talij, a jak nie wystarczy, to się dokupi. . . Upakowałeś?..

*Błażej.* Już Wielmożny panie.

*Pan H.* . . . Dobrze—teraz, czernidło na włosy, wodę Anatherin do ust. . . wódkę kolońską i flaszkę octu aromatycznego!. upakowałeś?

*Błażej.* Już Wny panie!

*Pan H.* . . . Oh! cóż to za nieszczęście, mieć takiego osła! Jakże ty pakujesz?.. kładziesz flaszką na flaszkę, iżby się potłukły. . . Nie wiesz, że to szkło?..

*Błażej.* Wiem Wy panie, ale gdzież je włożę?..

*Pan H.* . . . Dwa lata służy nie wie gdzie włożyć!! Do rozpaczy przychodzi z takimi ludźmi! — po rogach się kładzie! po rogach!.. wołaj mi Ekonoma, . . . albo zawołaj pisarza!.. słuchaj!.. nie wołaj jeszcze!.  
Zobacz czyli jest <http://www.wyteralska.pl>

*Błażej.* Jużci jest bo dopiero była.

*Pan H.* . . . . No, więc dobrze! . . . pakujże tu aż powrócę. —

## **Rozmowa pani Wyteralskiej z Organiściwą.**

*Wyteralska.* Ze złości, powiadam pani płaczę a nie z dobroci. — Bo na taki mój los dzisiejszy, co mi go zawiązał! Od lat dwudziestu kiedy byłam młodą, to nie jeden ani nie dwóch mi się zalecało. — A on jakby ten wąż w raju, co naszego Ojca i Matkę Jewę kusił, tam gadał że całe życie będę szczęśliwą, i że mi nie będzie brakować ptasiego mleka, mówił. Ja też jak głupia że każdemu wierzyłam, podałam się na to, a najwięcej z téj przyczyny, że mi sprawił długie suknie i przykazał ludziom w domu, mówić mi pani! — Tak też z początku dopóki i on był młodszy, to było mi dobrze, nie mogę powiedzieć, ale potem, jak umarło co było, to mi się wszystko odmieniło. — Jeszcze to tam niby parę lat, dopóki mnie nie przeniósł do oficyny. — Z oficyny przeniósł mnie później na folwark, i co dawniej mówił mi *Kordys* a przy ludziach *panno Kordulo*, to potem już choć zawoła, to albo *Wyteralska* albo *gospodyni*, i nie tylko żeby tam co innego, ale i dobrego słowa mi nie da! Więc ja też sobie mówię! dobrze! kiedy ty tak, to i ja to samo, i ciągle mu na złość robię, za tę moją krzywdę, co mi los szczęścia zawiązał. Gdy na to mówiąc, on czego potrzebuje, to powiem breviter że nie ma i kwita z myta. — To się nagniewa, namruczy, nasapi, i idzie potem do siebie i albo fornała zbije, albo swego chłopca *Błażka*, bo mnie jednak nie śmie terpać; tego nie powiem

aby mnie kiedy skrzywdził. Znowu chciałby się o czém dowiedzieć, jak było to lub owo? to mu odrazu powiem że nie wiem. — Więc znowu będzie drepcił po pokoju, a będzie sapał, i potém zbierze się i idzie w pole, albo każe zaprzęgać i jedzie gdzie do państwa.

*Organiścina.* Ale że się to nie ożenił?..

*Wyteralska.* Którażby takiego starego nudziarza chciała? a potem każda nie śmie o mnie, że ja jestem jakby z nim na wiarę. Ale i ja tam już nie jestem, teraz, bo choć to stare, że zęby wszystkie ma osadzone na złocie, a włosy ma siwiuteńkie tylko je tak na czarno farbuje, to on na młode spogląda... i jak jeszcze!

*Organiścina.* Widzicie?! Dobrze to mówią, że w starym piecu diabeł pali.

*Wyteralska.* Oj, palić moja pani! pali! A jaki to ogromny grzech na takiego starego, co na młodzież spogląda. Ja to znowu jestem taka, iż niech mnie parobek, albo niech mi dziewczka tylko się zaśmieje, to zaraz tego dojdę i okropnie karam, bo to nie powinno być.

*Organiścina.* Oh, nigdy na świecie! To i ja taka; że mój mąż to tam lubiał pośmiać się jakby z żartów, ale skłóciłam się z nim, więc mnie uderzył kilka razy, dość że mi się aż krew nosem puściła. Więc cóż ja na to robiący? Oto poszłam do wdowy po stolarzu i tam siedziałam przez pięć dni. — O moja pani! żebyto pani wiedziała co się działo?!... Aż Jegomość wdał się w tę sprawę i kazał mnie mężowi przeproszać. Dopiero z wielką prośbą jego powróciłam i od tego czasu to już ucichło, i nie mogę się niczego dokonać, aby co było niedobrego. Ale i tak nie ufam mu zupełnie.

*Wyteralska.* Oj, nigdy nie trzeba mężczyźnie ufać, bo mężczyzna jest, jakby nieprzymierzając, zdrajca ja-

ki, co zawsze ma swoje na myśli, a chobiałby się submitował, albo zaklinał, to na nic wszystko. Jak i mój stary!... to cóż mi z niego?... tyle co nic!... Chybaby to co po jego śmierci się urwało, i to, jeśliby brat jego pierwój nie uskoczył. Ale jeżeli napisał na brata, a na mnie nie napisał, to Walenty wszystko zabierze, bo to jest jak ten brytan, który u nas jest na łańcuchu, coby cię rozdarł. Gdy się trafi że przyjedzie, to oczami łepie to tu, to indziej, w każdy kąt zajrzy, a na mnie to ani spojrzy. Tyle tylko nadziei, że się bracia nie lubią, i jak się zjadą, to się zawsze skłóca. — A raz o mnie była taka mowa com podsłuchała... Walenty mówi: „Odpędź brat tę Kordulę“ rzeknie, i jeszcze gorzej mnie nazwał, a mój mu na to odpowiada: „Nie odpędzę, bo ona mi była w każdej porze dogodna od „lat dwudziestu, a z ciebie bracie cóż ja miałem kiedy?“ — „Lepiej się było z kim uczciwym ożenić,“ mówi Walenty. — A mój na to: „Nie widzę, abys pan „brat był tak szczęśliwym coś się ożenił... Dużo ci „się dzieci nasypało, a majątku nie masz, tylko na mo- „je patrzysz; ale się wiele nie spodziewaj.“ — A pan Walenty na to: „Bo wolisz pan brat babie świadczyć „jak rodzonemu.“ A mój mu na to: „Komu dam, te- „mu dam, a panu bratu nic do tego.“ I na tem stanęło! Więc może po jego śmierci coś pozyskam.

*Organiścina.* Jużci koniecznie coś pani urwie!.. ani słowa, i będzie sobie pani spokojna we swoim majątku a jeszcze może iść za mąż.

*Wyteralska.* Ej, tego tam nie jestem ciekawa, chyba żeby z upodobania, albo iżby się co osobliwego trafiło, tak, jak i ten dzierzawca z pod boru, co bywa w kościele, to się tam zawsze na mnie spojrzy, albo co powie śmieszno!... No, co ten org! jeszcze mi się dość

udaje... Ale czy to mój stary umrze tak prędko?... On cały jest zdrowy w sobie, tylko te jedne nogi co go bolą, i co się nazywa *podegra*, ale na to nikt nie umarł, bo mówi cyrulik co u nas bywa, że to na żywot a nie na śmierć.

*Organiścina.* Moja pani! u pana Boga, to tylko jedna chwila!! Stolarz był taki tęgi chłop, a jak go to zmiotło. Nie trzeba się o to turbować; lada kiedy śmierć zajrzy i staremu panu w oczy, a pani będzie szczęśliwą na cały swój wiek.

*Wyteralska.* Święte słowa pani! ale ja się tego tak prędko nie spodziewam.

*Organiścina.* Przecież i tak pani musiała sobie co ubierać, choć z tych drobiazgów w gospodarstwie.

*Wyteralska.* Tego nie mówię, abym przy duszy nie miała, ale cóż mi z tego kiedy ani części jednej cobym mogła, gdym była młodsza i co wtenczas można było wydrzeć na nim bez wielkiej subjekeyi. To też to te pieniądze com dała bratu na dom, a on mi je na tym domostwie zapisał, jako są moje a nie jego... Ale muszę już iść, bo tam się stary gniewa a jedzie na jarmark. Założyłabym się o niewiedzieć co, że mnie tam szukają po całej wsi. Jak wyjedzie, to przyjdzie pani do mnie na kawę, bom wczoraj usmarzyła chruštu, a dzieci niech też pani z sobą weźmie.

*Organiścina.* Dobrze, kochana pani, przyjdę z duszy serca, to się ugadamy.

### **Pan H.... i Wyteralska.**

*Pan H....* Cóż u stu paraluszów!! Gdzieś łazisz Wyteralska, a ja wyjeżdżam. Ani bielizny, ani czego!! Cóż to znaczy?...

*Wyteralska.* Ja przecież sama prac nie będę, a eko-

nomowi mówiłam już dziesięć razy o dziewczkę, a dla czegoż jej nie daje? Taki tu teraz jest rząd w domu, że sobie tylko głowę urwać. Od rana łążę, chodzę, biegam, jakby za swoim, choć jest cudze! Najlepiej zrobię jak sobie siądę i w nic się nie wtrączę. Niech sobie kradną, psują, niech wszystko przepadnie, to będzie lepiej, bo za moją pracę taka dzisiaj wdzięczność. Każdy dobry, tylko ja już zła, a przed tém, to byli wszyscy za nic, tylko panna Kordula. Powiadam, że nie warto nigdy uczciwie żyć na świecie!

*Pan H.*.... To było mi mówić skoro ekonom nie dawał dziewczki.

*Wyteralska.* Właśnie!... mówić!... żeby mi jeszcze dokuczali, że na nich podwadzę; co mnie dość i tak przezywają, że aż zgroza, a to z pańskiej przyczyny. Więc teraz rzekłam sobie: „Co mi do tego, i albo mi „co z tego przyjdzie?“ Chcę żyć spokojna do śmierci mojej przy bracie, a moja krzywda co nastąpiła, żem była głupia, niech tam na sumieniu czyjem zostanie... Oj! dziesiątemu powiem o takim interesie, aby się nigdy na nic nie oglądał. Bo gdybym była poszła za człowieka z mojej kondycyi, to miałabym sobie własne swoje gospodarstwo i krowy i trzodę i drób. A dzisiaj czyja świnia?... pańska! Czyja kura! pańska! Czyj kogut?... pański! A mojego co?... Nic, tylko te strzępki na grzbiecie. Oj wygrałam-ci, wygrałam, com uwierzyła, a to z tego, żem była głupia.

*Pan H.*.... Ale moja Kordulo, przecież nie masz żadnej krzywdy! Pieniądze za serki, twoje; skórki z cieląt, twoje. Wieprzek, co sobie wypasiesz, twój. — A przytem trzysta złotych!!... Zmiłuj się, to nie żarty!

*Wyteralska.* Cóż mi z tego, kiedy mnie to nic nie kontentuje, skoro jestem w posponacyi u ludzi. Wola-



łabym mniej, a tak jak mi było wprzód!... Dzisiaj, cóż ja znaczę?... Nic nie znaczę! Więcej ekonom zna- czy albo pisarz, a nawet karbowy, jak ja. Kiedy na- wet ten głupi Błażek, a i ten mi przygryza. Jak pan z tem porządku nie zrobi, to gotowam wszystko po- rzucić!

*Pan H.*.... Ha, jak ci się podoba moja Wyteral- ska. Jeżeli miarkujesz, że ci gdzie będzie lepiej, to trudno ci losu zagradzać. Ja cię nie oddalam, przez wzgląd iż dawno służysz, ale zostawiam ci wolność.

*Wyteralska.* Proszę?!... Zagradzać mi pan teraz nie chce losu, że mnie pan za młodu uwiódł, a obiecywał mi pan ptasiego mleka! Gdzież to ptasie mleko?...

*Pan H.*.... Ale cicho! cicho! nie krzycz, bo ludzie słyszą.

*Wyteralska.* Będę krzyczała! niech słyszą i niech wiedzą o mojej krzywdzie!! Ja się pana nie prosiłam, aby mnie pan uwodził.

*Pan H.*.... No, i cóż z tego? Przecież cię i dzi- sisiaj nie wypędzam, tylko proszę cię daj mi bieliznę na drogę i każ mi upiec kurczaka na popas.

*Wyteralska.* Nie ma bielizny, bo nie uprana i nie powysporządzana, a na drób pisarz nie chce wydawać posladu — niech więc wszystek wyzdycha. Mnie tam nic do tego. Gdyby pan miał żonę, toby wszystko było jój, a po śmierci pańskiej toby sobie była panią, a mnie pan Walenty wyściga i przyjdzie mi ztąd wychodzić o kiju, za tę moją dobroć, com była głupia.

*Pan H.*.... Ale nie bój się!... tylko nie krzycz, bo słycać w kuchni. Ja o tobie nie zapomnę. Panu Walentemu nic nie zapiszę, chyba jego dzieciom.

*Wyteralska.* A cóż mi tam do jego dzieci? Ja wszy- stkiego odstąpię i pójdę też do mego brata, który po-

wiedział, że się z panem rozmówi za tę moją krzywdę!...

*Pan H.*.... Nie biedaż to?... Pretensya po dwudziestu latach!! O cóż ci chodzi, moja Kordulo!!

*Wyteralska.* O wszystko! bo mi się już wszystko odmieniło. Pierwój byłam we dworze, a potem w oficynie, a teraz z dziewczkami na folwarku.

*Pan H.*.... No słuchaj! Daruję ci tę jałówkę co po sroczuli, a już się uspokój.

*Wyteralska.* Cóż mi tam po jałowce, co z niej pożytku nie ma.

*Pan H.*.... Wolisz może krowę?... To ci daruję tę sadą, tylko bądź cicho, moja kochana!!

*Wyteralska.* To niechże tam jeszcze wycierpię, aż do powrotu pańskiego, ale potem to nie wiem jak z nami będzie?... I proszę pana aby przykazał ekonomowi i pisarzowi aby mnie słuchali i nie pozwalali sobie za zbyt gębować.

### **Pisarz i Ekonom u pana H.**....

*Ekonom.* Skoro nam Wielmożny pan każe p. Wyteralskiej słuchać, to przepraszamy Wgo pana, ale dziękujemy za służbę, bo wolimy na bruku siedzieć do s. Jana, jak być pod taką suką, jakiej nie ma drugiej na świecie.

*Pisarz.* Gdyby nawet Wielmożny pan wiedział jakie ona bajki o Wm panu po całej wsi roznosi, że wszystko jej, że jej pan wszystko zapisał.

*Ekonom.* A tyle sobie pozwala zmyślać o Wielmożnym panu, przed organisciną, bo to jakby dwie czarownice do siebie podobne, tylko je omyć i na jednej gałęzi powiesić. I także, co ona w majątku pańskim robi uszczerbku! to aż okropnie! Gjej krowy, jej mle-

ko, jój cieleća, jój drób. Nic tu pańskiego nie ma, tylko wszystko jój.

*Pan H.* . . . . No, cóż robić? . . . Jakoś do czasu trzeba się zgadzać!! Oj, cóż to za bieda z tymi ludźmi!

*Ekonom.* Proszę Wgo pana, wyraźnie jój zapowiedzieć, aby się do nas nie wtrącała, boby przyszło jeszcze między nami do jakiej awantury.

*Pan H.* . . . . Ale ciszej Wacpan mów, bo ona czasem lubi podsłuchiwać podedrzwiami.

*Ekonom.* Owszem, niech słyszy, ja się jój nie boję. Przy Wm panie takbym się z nią rozmówił, coby pamiętać.

### **Pan H. . . . , Ekonom, Pisarz, Wyteralska.**

*Wyteralska* (wpadając z nagłą). No, rozmówże się pan ze mną, kiedy się chcesz rozmawiać! . . . rozmówże się cyganie, coś siedział dwa lata na bruku w Jasle, iż cię nikt przyjąć nie chciał.

*Ekonom.* Ja przeproszę Wgo pana, ale chociażbym służby postradał, to Wacpannę trzasnę.

*Wyteralska.* Sprobujno przy panu! sprobuj! . . .

*Pan H.* . . . . (rozbrajając). Cicho mi zaraz! cicho! Cóż to ma znaczyć, żeby sobie pozwalać w mojej obecności!. Błązek! każ zaprzęgać!! Niech Janek zajężdża!.. Weź już bieliznę jaka jest, i jedziemy!.. Cóż za bieda z tymi ludźmi! No, proszę?.. Aby mieć takie ciągłe szwary we własnym domu! . . . Wyteralska!! Zakazuję ci, bo jak się pogniewam, to będzie źle!..

*Ekonom.* My jój tu wkrótce karku nakręcimy!

*Pan H.* . . . . Błązek!! Błązeju!! niech Janek zajędzie, bo już siadam.

*Błążej.* Kiedy Janek taki pijany, że leży w stajni bez duszy... Z kowalem się tak spił, co mieli kuć konie.

*Pan H.* . . . . A cóż ja teraz pocznę? Powiedzno Błażek, czy ty nie potrafisz jechać czwórką?

*Błażej.* Ej, nie potrafię, a potem konie nie okute.

*Pan H.* . . . . Więc, słuchajno Wcpan, mości ekonomie, każ zjechać od włoczki i niech mi zaprzęgną fornalnę, bo zaraz jadę.

*Ekonom.* Ale jakże zostanie z interesem o gospodynię, bo my jój słuhać nie będziemy.

*Pan H.* . . . . Pal was diabli! . . . niech tylko wyjadę, gdyżby tu zdrowie stracił między wami.

*Wyteralska.* Ja też zaraz mego brata sprowadzam, bo ja tu między takimi zbujami sama nie zostanę.

*Pan H.* . . . . (biorąc kapelusz i laskę). Idę naprzód gościńcem do lasu, a ty Błażek zapakuj i dogonicie mnie przy leśniczówce — słyszysz? . . .

*Błażej.* Ale kiedyż? . . . czy po obiedzie? bośmy jeszcze nie obiadowali, czy zaraz?

*Pan H.* . . . . Ale zaraz, gapiu! zaraz! a dam ci strawne za obiad. (Do ekonomia) Panie ekonomie, każ zaprzęgać.

*Ekonom.* Dobrze, Wny panie, tylko konie popaszą, bo nie jadły od rana.

*Pan H.* . . . . Ale nie trzeba, będą jadły w drodze.— O Boże mój! co za bieda z tymi ludźmi!! (Idąc, mruczy) Głupie to życie starego kawalera!! Na diabła się to zdało!! . . . trzeba się było ożenić. — Oj, dobrze mówił pan Walenty!!

## ODDZIAŁ II.

### SCENY JARMARCZNE.

(Targowisko końskie.)

*Roztrucharz.* Hau! hau!! z drogi! Stój, haho! hahou! Niech go pan obejrzy!... Odwrotnego włosa nie ma, od ucha aż do kopyta... Lata swoje, pięć lat... dopiero co okrajki zrócił. Patrz pan!... to źrebię!.. Noga jak u jelenia, pęcina krótka... Stoi na wszystkich czterech jak mur!!... A co za krzyż?!... mógłby się pan na nim położyć! — Piers szeroka, kłęb wysoki. — Wierzchowiec całą gębą... A łagodne to jak dziecko, można podleść pod niego. Od czasu jak handluję końmi, jeszcze takiego źrebca nie miałem.

*Kupujący.* Ale mi się zdaje, że oko?!...

*Roztrucharz.* Co oko?... Za oko ręczę i za kaźden feler. Cały koń, bez skazy i najmniejszej wady... ale drogi, bo co dobrego, to drogie!... Lepiej dopłacić za dobrego konia, jak gałgana kupować za małe pieniądze. Wierzchowe konie się płacą, bo wszystkie idą do Prus.

*Kupujący.* Ale kiedy ja do zaprzęgu a nie pod wierzch potrzebuję.

*Roztrucharz.* To też właśnie ten koń wyborny do lejca. Całą czwórkę poprowadzi. A jaki wyrost szyi?!.. Jak u łabędzia.

*Kupujący.* Mnie się zdaje, że się strychuje zadem.

*Roztrucharz.* Jak świat światem!.. furą sianaby mu między nogi przejechał.

*Kupujący.* Ogon ma nie bogaty, jakby obdarty z włosa.

*Roztrucharz.* Co się tydzie ogona, to piękniejszego

wyrostu z krzyża nikt u konia nie widział, a nosi go jakby był arabizowany; rzekłby kto, że to waltornia a nie ogon. Włósia mu zaś przyrośnie, bo to dziecko!.. Przecież człowiek stary co tydzień brodę goli a odrasta mu; cóżby dopiero koniowi ogon nie odrósł.

*Kupujący.* Wieleż pan chcesz za niego?

*Roztrucharz.* Nie wiem jak mam panu powiedzieć?.. Czy z targiem lub bez targu?..

*Kupujący.* Bez targu, — na jedno słowo!

*Roztrucharz.* Dwa tysiące, i to srebrem albo złotem jak się panu podoba.

*Kupujący.* Żartujesz pan! to ja przecież dostanę w Gumniskach ogiera za te pieniądze; a co ogier Sławucki to nie wałach jarmarczny.

*Roztrucharz.* Co to ogier? To tylko kłopot z ogierem w czwórce. Wałacha zaś w całej Dąbrowej nie znajdziesz pan takiego i za tę cenę. — Iwan, wprowadź konia do stajni, bo ten pan tylko żartuje, ale nie ma ochoty kupić. Ja zaraz powiedziałem, że to koń za drogi!.. Pan go nie kupisz. Prusak przyjdzie to go w lot porwie.

*Drugi kupujący (podstawiony).* Hej! Człowieku! nie wprowadzajno jeszcze!.. poczekaj!.. niech ja go zobaczę (ogłąda).. Jaka cena tego konia?..

*Roztrucharz.* Dwa tysiące pięćset złotych.

*Drugi kupujący.* To drogi!.. tej cenybym nie dał.. (zwracając się do pierwszego kupującego). Ale może pan Dobrodziej kupujesz? nie chciałbym pana podkupować.

*Pierwszy kupujący.* Nie mój panie, ja nie kupuję, odstępuję panu.

*Drugi kupujący.* To co innego; więc panie kupiec, proszę powiedzieć mi ostatnie słowo!

*Roztrucharz.* Czy pan w istocie kupujesz, czyli probujesz tak, jak ten pan?

*Drugi kupujący.* Ja kupuję, ale to zależy będzie od ceny!

*Roztrucharz.* Dasz pan jednym słowem 2,200.

*Drugi kupujący.* Nie!... tylko dam 1800 złotych. — Chcesz pan? bierz! — Nie? to nie!

*Roztrucharz.* Za tę cenę nie będzie. — Iwan! do stajni z koniem.

*Pierwszy kupujący.* (na boku) A my się to nie zgodzimy? Ja dam tysiąc dziewięćset.

*Drugi kupujący.* (odechodząc) No! panie kupiec! Dla tego iż potrzebuję dla majora w Prusiech takiego konia, więc dam dwa tysiące, ale ani grosza więcej.

*Pierwszy kupujący.* Ja pierwszy zatargowałem to ja za tę cenę wezmę.

*Drugi kupujący.* Pan odstąpiłeś targu; ale kiedy mnie pan podkupujesz, to ja 100 złotych nadrzucę, a co pan chcesz dać nad 2100, to panu wolno, bo ja już więcej nie dam.

*Roztrucharz.* Za 2100, to oczywiście ma pierwszeństwo ten co najprzód zatargował, i jeśli pan tę cenę dajesz to konia oddam.

*Pierwszy kupiec.* Cóż mam robić! ale 100 złotych, jak w błoto wrzucone z łaski tego pana co mnie podbił w targu.

*Roztrucharz.* Tak panie jak na jarmarku, trzeba się z targiem spieszyć! — Gdzież będziemy rachować pieniądze? czy w mojej stajni? — A przypominam panu odudźne.

*Kupujący.* Jeszcze i to do tego? —

*Roztrucharz.* Oczywiście! to akcydens moich ludzi.

*Kupujący.* Oto jest 525 złreń, czyli 2100 złpolskich

tylko powiedz mi pan, czy na to oko na które płacze nie osłepnie?

*Roztrucharz.* Że nie jest ślepy rękę, ale za przyszłość żaden kupiec nie ręczy, mogą mu oko biczem wybić. — A wreszcie jest przysłowie które pan znasz „od złości do złości i t. d.

*Kupujący.* Ale czy chodzi w zaprzęgu?

*Roztrucharz.* Trzeba go przy spokojnym koniu zaprzęgać to się zapewne nauczy! — Taki koń da się wyrobić. — No Iwan, odprowadź panu konia — dostaniesz odzudne!

*Kupujący.* Ja stoję u Abrahama na rogu — tam proszę zaprowadzić!

## **Roztrucharz i współnik jego.**

(ów drugi kupujący.)

*Wspólnik.* Otośmy fryca złapali!

*Roztrucharz.* Gracko nam poszło, ale boję się żeby o oko nie było kłopotu?

*Wspólnik.* Żadnego, bo przecież wiedział o wadzie i z tem go kupił. Co tam! przepadło! — pieniądze w kabzie! — Teraz trzeba się o innych dudków postarać. . Mam ja tu młokosa, co szuka pary koni pokaznych, ale już jest w rękach żydów, . . . trudna sprawa!

*Roztrucharz.* Moznaby mu te dwie gniade staruszki wpakować, bo się pięknie w zaprzęgu noszą. — Idźno, a myszkuj!!

## **Scena na podcieniu**

(przed domem Abrahama.)

*Pan Stefan.* Góź Franusiu! podobno konia dokupiłeś do twoich?



*Pan Franciszek.* Kupiłem u tego handlarza z Łęcznej, bo on ma najlepsze konie, ale słone! — niech diabli wezmą! — Tylko że się Żydów boję, gdyż mi raz już nosatego konia wpakowali, wolałem więc kupić u porządnego człowieka.

*Pan Stefan.* Kaźże go wyprowadzić — niech go zobaczymy, co zacz?..

*Pan Stefan.* Cóż on tak rzy?..czy ogier?..

*Pan Franciszek.* Nie,—wałach, tylko może tak tęschni za końmi —

*Pan Stefan.* Ale nie buziaczku! to wnenter.

*Wojtek.* (furman) 'Tak musi być Wielmożny panie, tak, bo kwiczy a konie chce kąsać,.. trzebaby go przegrodzić!..

*Pan Franciszek.* A do diabła! to go oddam!

*Pan Stefan.* Prózne zachody, bo ci go nie przyjmie gdyż to jest wada a nie kalectwo—przepadło..

*Pan Dyonizy.* (nadchodząc) Cóż to sercuniu! kupiłeś konia?

*Pan Franciszek.* Kupiłem niestety!

*Pan Dyonizy.* Czekałno! bo to moje rzemiosło!... No, z wierzchu ujdzie! — Skład dobry—budowa wspañiała — niema mu przygany — teraz idźmy od łba do ogona!! Czy ma koler?..niema. Oj, sercuniu! coś te oczy za mgłą, źle!.. już ma zadatek na kataraktę! — Język?..cały!...bo i to bywa że gurdziel go toczy.— Idźmy dalej! — pierś dobra — nogi zdrowe ogon goły szcurzy! to szpetne!

*Pan Franciszek.* Ale to odrośnie?

*Pan Dyonizy.* Nigdy sercuniu! prędźj tobie na dłoni włosy wyrosną.—Kaź go przeprowadzić...No! krew ma, temperament dobry.—Ale wieleż za niego dałeś?. Czekał! czekał czego on się tak śmieje—A to wnenter

za żadne pieniądze bym go nie chciał — Koń wnter to jest jakby jaki hrabia zrujnowany, co ma pańskie zachcenia a niema do tego środków — Wprowadź go, wprowadź — schowaj się z nim!

*Pan Stefan.* Radzę ci, sprowadź żyda i sprzedaj mu tę szkapę za co za to, a nie prowadź tego do domu.

*Pan Franciszek.* Ale wieleż żądać?

*Pan Stefan.* Jak ci kto da 100 reńskich to go w rękę pocałuj.

*Pan Franciszek.* Nie, ja pójdę do tego łotra, który mi sprzedał, a jeśli mi nie zwróci pieniędzy to go za pozwę. —

*Pan Dyonizy.* Na próżno sercuniu! bo ci nie przyśadzą, gdyż prawo o tój wadzie zamilcza, ale może jakoś cię wyratujemy, i byłoby dobrze iżbyś chociaż połowę straty powetował.

### Scena na drugim podcieniu.

**P Anastazy (młokos), Zydy.— Wspólnik Roztrucharza.**

*Wspólnik Roztrucharza.* (na boku do młokosa) Nie wdaję się w handel pański, bo i ja nie jestem wielkim znawcą, ale mi się zdaje że chcą pana Dobrod. żydy oszukać. — Trzeba być bardzo ostrożnym... Lepiejby może kupić u jakiego obywatela. — Chociaż nie mam szczęścia być panu Dobr. znanym, ale widząc młodego obywatela śmiem jako starszy wiekiem panu zrobić tę uwagę. — Na jarmarku nie trzeba być zbyt nagłym w kupnie — koni jest dość, jest w czém wybrać i wreszcie trzeba się ząb w ząb targować, bo szkoda pieniędzy!

*Pan Anastazy.* Dziękuję panu za łaskawą radę — z kimże mam honor mówić.

*Wspólnik.* Jestem Łęczniewicz obywatel z królestwa z za Lublina.

*Pan Anastazy.* A ja jestem Dandeki obywatel z pod Lwowa, —

*Wspólnik.* Bardzo mi jest miło poznać tak szanownego acz młodego rodaka!... Ja także mam konie, ale przyznam się panu w sekrecie, że są gałgany, więc bym ich panu kupować nie życzył, bo u mnie podstawą każdego stosunku jest uczciwość! Mówią np. iż się godzi na koniu oszukać“ Jest to najfałszywsza zasada i roztrucharski wybieg — według mnie, czy na koniu czy na innym towarze oszustwo jest równie naganne.

*Pan Anastazy.* Zasady pana Dobro. są uwielbienia godne, i dla tego skoro mnie Opatrzność do pana zbliżyła, tobym prosił abyś mnie radą swoją wspierał.

*Wspólnik.* Bardzo chętnie! ale może tu pan Dobrod. masz kogo z bliższych znajomych i lepszych znawców? Może kto z miejscowych obywateli lepszejby użyć rady?...

*Pan Anastazy.* Nie Mości Dobrodzieju, bo ja jestem z tamtej części Galicyi, więcej od Rusi, a tu są Mazury i krakowscy. —

*Wspólnik.* Kiedy więc tak, to już pana Dobrod. nie opuszczę i jestem na jego usługi.

*Pan Anastazy.* Najwdzięczniejszym WCpanu Dobr. jestem; przed targiem jednak śmiem go prosić na małe śniadańko, na jakie się ta miesciza zdobędzie. — Gdyby to we Lwowie, tobym przyzwoicięj pana Dobr. ugościł.

*Wspólnik.* Proszę pana Dobrodzieja nie robić sobie subiekcyi.

*Mojsiele.* (żyd) Wielmożny pan! Wielmożny pan! bardzo proszę pana na słowo! jedno słówko!

*Pan Anastazy.* Czegóż chcecie?...

*Mojsiele.* Ny, proszę pana na sekret, co powiem słowo!

*Pan Anastazy.* Ja nie mam sekretów! o cóż chodzi?

*Jankiel.* (żyd) Będzie Wny pan żałował, i dopiero powie co to jest Jankiel, nie taki wykrętacz jak kupcy z Łęcznej.

*Pan Anastazy.* Jakie te żydy są uprzykrzone to aż się kupować odhciewa!

*Wspólnik.* (z cicha) To są łajdaki! zwyczajnie żydy, których zysk opiera się na oszustwie!

*Mojsiele.* Słyszysz pan! Wielmożny panie! ja się zgodzę na tę cenę co pan dawał za te dwie kobyłki! — niech panu służą.—Gdzie pan stoi?... każę Wu panu prowadzić.—

*Pan Anastazy.* Nie,... niechcieliście kiedyś dawał, teraz ja już nie chcę.

*Mojsiele.* Na moje sumienie będę ręczył, iż chcę stracić, tylko na złość temu kupcowi co pana chce zarwać... to gorszy jak żyd....

*Wspólnik.* Bierze mnie zapewne ten szacher za jakiego kupca.—Łajdaki! to ich rzemiosło okpiwać uczciwych ludzi.

*Pan Anastazy.* Dajcież mi pokój! kiedy wam raz mówię, iż nie kupię, to nie kupię.

*Jankiel.* Kiedy pan gwałtem chce, aby się okpiwać, to niech się pan okpi; co mi do tego?.. Ale ja nauczę tego szachra i ten oszust warszawski, aby chodzić do cudzych stajniów i wyprowadzać kupców i targ komu zepsuć! Ja mu będę do Magistratu skarżył za tego ślepego wnentera, co go sprzedał takiemu obywatelu,

co jest pocziwy, jak nie ma ani drugiego na jarmarku — (w oddaleniu) ten cygan, ten ganew, co lepszych siedzą na Wiśniczu!! —

### **Śniadanko.**

*Pan Anastazy.* Pójdźmy tu na róg bo tu ma być najlepiej.

*Wspólnik.* Toby nas za długo bawiło, ale jeśli pan już koniecznie chcesz, to wstąpmy do korzennego sklepu na śledzia.

*Pan Anastazy.* Zmiłuj się pan, to szkaradziństwo, już lepiej zjemy po parę tuzinów ostryg, albo łososia marynowanego lub minogów.

*Wspólnik.* Ja się na wszystko zgadzam co pan zadysponujesz.

*Pan Anastazy.* (w sklepie) Słyszysz Garçon, czy jak ci tam, daj nam cztery tuziny ostryg i wina białego.

*Kupczyk.* Ja się zowie Faiwel Wielmożny panie, to jest tak się nazywam a mój pan to Ejbuszic, co jest najpierwszy na całą Dąbrowę.

*Pan Anastazy.* No, dawaj ostrygi i spiesz się!

*Kupczyk.* Ale co to jest z przeproszeniem Wgo pana? bo ja tego nie słuchał.

*Pan Anastazy.* Cóż za barbarya! nie wiedzą tutaj co są ostrygi!

*Kupczyk.* Ny, jak mam wiedzieć? chyba będę się dowiedział od pana Ejbuszic.

*Pan Anastazy.* To jest jak żaba w skorupie, co się je świeża i żywa...

*Kupczyk.* Ej wej! żaba w skorupie!! Ktoby to jadł? Riby zgotowane, z pieprzem, cybulą, rozenkiem, to ja znam, ale żaby w skorupie, to jak Dąbrowa wielka to nie ma takiego na świecie, coby zjadł.

*Pan Anastazy.* To dawaj nam łososia marynowanego, albo minogów.

*Kupczyk.* Tego nie ma Wny panie, tylko feine śledzie i suche rybki góralskie.

*Pan Anastazy.* Oh biedny kraju! jakże cofniętym jesteś w cywilizacyi!! No cóż robić! Daj i te śledzie, ale prędko.

*Sore* (żydówka). Was will der purez!

*Feiwel* (kupczyk). Was er will?... ei wej! er will lebendige žabes essen, mit allem, und mit die skorupes!

*Sore.* Ny! wie a Storch! Dus ist a Schpas!

### **Rozmowa przy śniadanku.**

*Łęczniewicz.* Więc pan Dobrod. umyślnie tu po konie przyjechałeś?

*Pan Anastazy.* Prawie umyślnie, bo powróciwszy z za granicy odziedziczyłem majątek po mym ojcu, i zastałem tylko w dobrach same konie, tak nazwane robocze czyli fornalskie!

*Łęczniewicz.* Ah, to bardzo słusznie, iż pan życzysz sobie nabyć koni pokaznych i z temperamentem, słowem koni szlachetniejszej rassy.— Nie przystoi młodemu i majątnemu panu, wleć się fornalką w sąsiedztwo, a szczególnie gdzie są piękne panienki,.... to zaraz w opinii poniża!...Ale takich koni, jakich pan potrzebujesz to tu niema w całej Dąbrowy... Zaraz!. niech sobie przypomnę!...Te kasztany?... no,... byłyby, ale gałgany!...nie, nie,... nie dla pana!.. Siwe?... w tej tu stajni o podał..nie złe, ale i te nie są bez wad!!.. Ale zaraz, zaraz!! już mam!... Gniade dwie kobyły, przepyszne! jak łanie piękne! co za szczęście że mi na myśl przyszły!...tylko boję się aby ich dotąd kto nie kupił.—Trzeba nam się spieszyć!!

*Pan Anastazy.* Ah, ileż wdzięczności winienem Wacpanu Dobrodziejowi.— Lecz proszę pana, dokończmyż téj butelki, a może i starszego pan pozwolisz to każę dać zaraz!

*Łęczniewicz.* Dziękuję panu Dobrod. bo ja nie wielki jestem amator wina, chybaby małą lampeczkę starszego dla strawności.

*Pan Anastazy.* Bardzo dobrze, w ten moment będzie! No, kupczyk przynies starego wina butelkę.

*Feiwel.* Na ila?... bo jest na dukat, na dwa, i na trzy i na więć się znajdzie.

*Pan Anastazy.* No, przynies,.. nie pytaj się...

*Łęczniewicz (pijąc).* Doskonale!! wytrawne, to kordyał ale niechże i pan Dobr. pije!

*Pan Anastazy.* Kiedy czuję że mi już gorąco!

*Łęczniewicz.* Więc nie trzeba więć pić nad tę butelkę aby trzeźwo do targu przystępować. — W ręce pańskie.

*Pan Anastazy.* Zdrowie Wacpana Dobrod.

*Łęczniewicz.* Dziękuję panu, a teraz ostatnią na szczęście!..

*Pan Anastazy.* Czuję że mi do głowy poszło.....  
*Feiwel!* co się należy?

*Kupczyk.* Pięć dukaty za wszystko, a mnie co będzie łaska...

## Scena u Roztrucharza.

**Pan Anastazy, Roztrucharz, Wspólnik.**

*Wspólnik.* (Łęczniewicz) Mości kupiec, proszę no tu pana!

*Roztrucharz.* Do usług! co pan rozkaże?

*Wspólnik.* Czy nie sprzedałeś pan jeszcze tych klaczy gniadych, które przy mnie targowano?

*Roztrucharz.* Już są prawie sprzedane, bo chodzi o małą bardzo różnicę!

*Wspólnik.* Kiedy chodzi jeszcze o jakąś różnicę, więc nie są sprzedane.

*Roztrucharz.* Prawnie, to miałbyś pan racya, ale my zwykle pierwszego się kupca trzymamy.

*Wspólnik.* Niech pan skrupuły na bok odłoży, a także klacze wyprowadzić.

*Roztrucharz.* Pokazać je można, więc: Iwan! wyprowadź obie klacze gniade... (do Wspólnika) to jest czoło mojej stajni!

*Wspólnik.* (do p. Anastazego) Niech je pan obejrzy! (na boku) to są klacze z temperamentem!... widzi pan rassę?... obie klacze Traheńskie, ze stad królewskich, dwa razy krzyżowane; bo raz przez matkę z angielskimi a przez ojca z arabskimi — Jeżeli się zaś kupiec nie myli, to dziad ich nazywać się miał Mehmet Rebe!...

*Pan Anastazy.* (na boku) Ale może będą drogie!... Niech się też pan Dobr. raczy zapytać.

*Wspólnik.* Cóż pan chcesz ostatniem słowem za te dwie klacze?

*Roztrucharz.* Ja chcę 5000 złpol. dają mi 4800, chodzi więc o 200 złotych.

*Pan Anastazy.* (z cicha) Oj drogie!!

*Wspólnik.* (z cicha) Nie drogie, ale o te 200 złotych targować się będziemy.



## Zmiana sceny.

### **Pan Dyonizy, Urzędnik, Pan Anastazy, Roztrucharz i Wspólnik.**

*Pan Dyonizy.* No, Teraz przychodzę proponować Wacpanu wybór—między zwrotem pieniędzy a kozą—Nogi na stół sercuniu i licz talary, albo nogi za pas i maszeruj za tymtu panem, który ci ofiaruje mieszkanie *gratis* w Ratuszu?! Tylko spiesz się z decyzją, bo nie mam czasu!

*Wspólnik.* (do Anastazego) pójdźmy!... bo gotuje się jakaś burda.

*Pan Anastazy.* Ale to ciekawe! chciałbym się doczekać rozwiązania.

*Wspólnik.* (odchodząc) Nie warto, bo nie miłe są takie sprawy.

*Pan Dyonizy.* (do wspólnika) Nie odchodźno, Mości faktorze! bo zapewne pan Inspektor będzie pragnął rozmówić się z tobą.

*Wspólnik.* (stawiając się) Jakim mnie pan prawem zaczepiasz?! Jestem obywatelem! posiadaczem!... pan Dandeki graf tutejszy zna mnie dobrze!...

*Pan Dyonizy.* Jesteś żyd golony, tak jak i twój pan czy wspólnik, a co się tycze pana Dandekiego to go żałuję iż wpadł w ręce oszustów, i szczęśliwy jestem że go ze szpon waszych uwolnię. (do Anastazego) Czy pan nie jesteś przypadkiem synem mego przyjaciela Joachima Dandekiego, który służył w wojsku?

*Pan Anastazy.* Tak jest Mości Dobrodzieju! a z kimże mam szczęście mówić?

*Pan Dyonizy.* Jestem Dyonizy Sławecki, kollega i przyjaciel ojca Twojego sercuniu! pójdź więc duszko, niech Cię uściskam!

*Pan Anastazy.* Oh! przypominam sobie, że mi często mój Ojciec to drogie dla niego nazwisko wspominał. Jakże szczęśliwym jestem!...

*Pan Dyonizy.* Dobrze sercuniu! dobrze! wierzę żeś kontent;... i ja kontent...Ale poczekajże chwilę... pójdziemy razem, tylko pierwej tych oszustów do kozy wyexpediuję.

*Pan Anastazy.* (na boku do pana Dyonizego) Ale ten drugi to jest uczciwy obywatel — człowiek moralny Łęczniewicz.

*Pan Dyonizy.* Znamy my takich obywateli sercuniu! którzy brody pogolili i pejsy ostrzygli, aby pod tą maską, łatwiej nas oszukiwali.— Ci są właśnie plagą naszego społeczeństwa, — wierz mojemu doświadczeniu kochanku, i trzymaj się raczej szlachty z herbami a żydów z brodami, jak hermafrodytów, którzy oznaczonego w kraju nie zajmują stanowiska!.. (do Roztrucharza) Miałeś Wacpan czas namysłu,... więc czekam!

*Roztrucharz.* Połowę zwrócę... ale całej sumy nie mogę.

*P. Dyonizy.* Rozumiem;... więc drugą połowę chcesz w kozie odsiedzieć! Niech i tak będzie!

*Roztrucharz.* Jak to być może?... Ja już trzydzieści lat handluję, kupowałem u mnie konie książę R... a drugą parę generał A... i tyle państwa grafów, baronów i obywateli, a nie miałem takiej subiekcyi jak tutaj. To wstyd dla tutejszych obywateli, i nikt tu nie przyjedzie! Ja sam będę odstręczał.— Na to przecież, mówi się, kura grzebie aby co wygrzebiła! a tu chcą z człowieka skórę zdierać, o jednego głupiego wną-

tra! Przecież ten pan miał oczy!... dla czegoż go kupował?

*P. Dyonizy.* Wchodzę i w słusność powodów Wpana, dla tego oddaj trzy części pieniędzy, a czwartą sobie zatrzymaj i konia odbierz!

*Roztrucharz.* Co mam robić? Niech i tak będzie... Ale już na tem koniec.

*P. Dyonizy.* Na tem już basta — kwituję pana z koczy... Dziękuję panu Inspektorowi, rzecz załatwiona — licz Wpan pieniądze, panie kupiec. Koń stoi przy płocie...

*Roztrucharz (licząc).* Oto mi sławny interes! Ja tylko przez grzeczność dla pana Dobrodz. zgadzam się na takie warunki.

*P. Dyonizy.* Powiedz pan raczej, że czynisz to przez grzeczność dla pana Inspektora, który się fatygował do ciebie... — Dobrze! 1500... a więc panu pozostaje w zysku 600... to nie wiele!! Przyznaję, iż fryc słusznie je stracił. — Bywaj pan zdrów, sercuniu! pisuj do mnie na Berdyczów. — Wojtek! oddaj temu kupcowi waszego wnętra... No, chwała Bogu, jeden interes skończony!... A teraz z tobą sprawa duszko moja, panie Anastazy! Gdzie stanąłeś? co porabiasz? i jakie konie chcesz kupować?

*P. Anastazy.* Ja chciałbym kupić z temperamentem, rasowe i dwa razy krzyżowane, jak te klacze!

*P. Dyonizy.* No, pójdź duszko, pójdź sercuniu! bo już widzę, żeby cię tu ocieli i zapłacilibys i ty frycowe. Trzymaj się mnie jak pijany płotu, a ja ci tu grubo-płaskie kobyły znajdę, co pociągną za cztery.

*P. Anastazy.* Jabym nie chciał bardzo płaskich, bo już takie mam w domu, tylko wolę wyższe i takie co by były z angielskich matek a z arabskich ojców.

*P. Dyonizy.* Rozumiem, sercuniu! rozumiem! Ale zdaje mi się, iż nie bywałeś często na jarmarkach, i nie bardzo wiele koni widziałeś.

*P. Anastazy.* Owszem, panie! Widziałem w Hypodromie i w cyrku Frankoniego najpiękniejsze stworzenia, a wracając już zabawiłem w Berlinie i znam całą stajnię Renza. Widziałem *negra!*

*P. Dyonizy.* Choćbyś był, sercuniu, i Beranka szkapę widział, tobyś jeszcze nie był znawcą. Jest to osobna sztuka, którą nietylko nabywamy teoretycznie ale i przez doświadczenie. Polak w ogólności ma wrodzone upodobanie do koni, lubi i przywiązuje się do tego szlachetnego zwierza, który jest jego towarzyszem i współnikiem w trudach rolniczych, a często i w wojennej sławie! Ale ten właśnie instynkt naturalny polski i to wrodzone znawstwo, a iż tak rzekę, to oko trafne w ocenieniu konia, zamglily wyobrażenia fałszywe i o jego przeznaczeniu i o jego budowie. — Ludzie zatarli w pojęciu pierwówzór koni dla kraju naszego stosownych, i szukają wprost przeciwnych warunków. Zapomnieli, iż koń ze swojego przeznaczenia *dźwiga* i *ciągnie*, a myślą, iż koń jakby dzika koza powinien skakać, albo jak chart zające łapać. Anglomania, sercuniu! jakaś głupia anglomanja opętała naszych panów, a szlachta małpim obyczajem, podryguje za paniami na wywłokach chudych i zdychawiczących. Kiedy przy daniej okazji pomówimy o tém obszerniej, a teraz powiedz mi gdzie wieczór przepędzasz?...

*P. Anastazy* (pomieszany). Nie wiem!... Obiecałem się właśnie panu H. .... który zaręczył, iż poznam u niego całe towarzystwo.

*P. Dyonizy.* Jakie towarzystwo? karciarzy? szulerów? Pfu!, sercuniu, to nie dla ciebie! Pan Higieniusz,

stary kawaler, gracz. Pfuj!... Lepiej przyjdź do mnie na herbatę, oto tu, do Abrahama na rogu — a teraz zjesz ze mną razem obiad, jako ze starym przyjacielem twego ojca, a wielbicielem twojej matki, bo piękna była kobieta!... rozumna!!... ho, ho! zachwycała w swojej epoce!

## Izba jadalna o kilku stołach.

### Rozmowa przy pierwszym stoliku.

*P. Dyonizy.* Przedstawiam panom syna mego przyjaciela pana Anastazego Dandckiego. Ojciec był poczciwym; jest więc nadzieja, że syn wejdzie w jego ślady. Przyjechał tu konie kupować i już był w ręku Łęczyńskich żydów, gdy nadszedłem i uwolniłem go ze szpon tych oszustów!

*P. Stefan.* To cię tu Bóg na ratownika kupców nie-doświadczonych posłał.

*P. Dyonizy.* Prawda, Sercuniu! Że już od dwóch dni jestem jak pies na górze s. Gotarda, i chodzę po błocie Dąbrowskim a wyciągam z niego fryców. Ale to mnie gniewa, mój Stefanie! ze młodzież nasza, nic się na koniach nie zna!... Jak my pomrzemy, to panami jarmarku zostaną żydzi, i synów naszych golić będą bez mydła!... Jak i ten mój młody pan Anastazy, wraca z Paryża i widział konie, linoskoczków, kome-dyantów, a z nich utworzył sobie wyobrażenie o koniu!

*P. Anastazy.* Widziałem też konie na kursach, co wy-grywały po 20,000 franków i przyznać trzeba, że to są konie wielkiej wartości, skoro przynoszą taką korzyść posiadaczowi.

*P. Dyonizy.* Ale mój sercumi! duszko moja! mylisz się, bo co innego jest ruch regularny, a co innego gimnastyka. Koń, równie jak człowiek stworzonym jest do pracy z chodem regularnym i ruchem zwyczajnym ciała, zarabia sobie na chleb powszedni. Od téj zasady ogólnej i powszechnej, są przecież wyjątki tak między ludźmi jak i między końmi. Np. są ludzie, którzy koźły magając w powietrzu na chleb pracują! inni, łamane sztuki pokazując, wydzierają nam pieniądze, i za jeden wieczór więcej zbiorą jak my za cały rok. Czyliż dla tego powiesz, że ten linoskoczek szacowniejszym jest od nas obywateli, mozolnie i wytrwale pracujących? Czy pragnąłbyś, aby całe społeczeństwo złożone było z linoskoczków? — Otóż i o tych kursowych koniach, to samo powiedzieć można. Jako wyjątek — zabawka (nader Nb. kosztowna), to jeszcze pozwałam, ale aby taka szkapa, która je opium zamiast owsa, a pije wino reńskie zamiast wody, pierwowzorem naszych koni być miała, na to zdrowy rozum pozwolić nie może. — Pfuj!... aż mnie wstyd za mój kraj!! Dawniej to tylko było dobre, co było francuzkie, teraz znowu, każde głupstwo jest mądre, jeżeli jest angielskie! Nie jeden nawet szlachcic, toby chciał schudnąć i chodzić na cienkich łydkach jak król nasz Laskonogi, aby być podobnym do angielskiego lorda, i szkapy też swoje chudzi, siana i siczki im odmawia, aby je trenować do wyścigów. Niech mi się schowają te bociany angielskie stojące na krzywych badelach, przed naszym polskim koniem, z arabską jeszcze rasą krzyżowanym. — Noga krótka, pierś jak u dziewicy — główka proporcjonalna! tułów okrągły, pełny — ogon jak snop — krew jak ogień — muszkuły jak sprężyny — kość pa-cierzowa jak skała, że powiem: „muruj na nią!” —

Na takiego to konia, nie błazna zockeja, co waży dwadzieścia funtów wraz z żółtą koszulą, ale pakuj naszego Janka, co zaważy dwa cetnary z kutym pasem i sukmaną, i dopiero zaprosz panią angiolkę w taniec!... Prawda, że ta Silfida, prześcignie w pierwszej chwili, za nim się nasz koń rozjurzy i rozmacha... Ale potem jak się poprobują milkę albo dwie, to anglica padnie na łeb i tylko z niej zostanie skóra, a nasz polski koń dopiero się rozhulał, i parska, a nosi, a Janek siedzi jak przykuty i czasem tylko łokcie w górę jakby żagle wznosi i jedzie, a jechałby i sześć mil, nie oglądając się nawet na anglicę, którą już ze skóry lupią i nad którą dwudziesto-funtowy żokéj elegie żałowne rozwodzi!

*Pan Stefan.* Doskonale, Dyonizy! wybornie! Wiesz że mnie twój opis aż do łez rozczulił, bo mi przypomniał mego szpaczka (Kaczaja) wszakże go znałeś!... Syna owéj kaczajki, wierzchowéj mego ojca!! Ah! cóż to był za koń!! mój Boże!! Już ród takich koni zaginął!... pamiętasz, kiedyśmy polowali na Szczucińskich gruntach!... Pamiętasz kiedy to mój pies Doskocz, taką sobie sławę zyskał!... Otóż Kaczaj zawsze był równo z psem na zajacu!... Niechże zajac wytnie kuminka i mknie na lewo, to mój koń na jednym kopycie zwróci się na lewo i ledwo zwierza zębami nie chwyci!... Zajac przez rów, pies za nim, koń za nim!... Zajac w krzaki?... Kaczaj hop przez krzak i hajże go przez gołoborze, a tu pies już osmyk trzyma, a zajac osmyk zostawił i czmycha... Dopiero za krzakami... pamiętasz?... Doskocz go doścignął, podrzucił w górę, potrząsnął i zdusił, a mój koń jak współzwycięzca stoi przy zajacu, nóżką grzebie i

rzy!!... Oh, mój Dyonizy! Wiesz, iż bez łez wspomnieć o tem nie mogę.

*Pan Dyonizy.* No, utul się Stefanie! Pfuj, przecież koń to nie rodzic, ani nie syn, aby za nim płakać. — Oto, napij się wina. — I ja nie lubię słuchać o takich rzeczach, bo i mnie konia żal! Koń, to przyjaciel! Oh miałem ja takiego w kampanii, ale próżno o tem mówić... Tylko powtarzam, iż te angielskie konie to nie są dla rycerzy, tylko dla kuglarzy. Czytałeś w *Czasie* co książe Władysław w tej materyi napisał?... Dobrze napisał, ale zbyt oględnie!... a tu powinno się pędzić anglomanią za morze, choćby płomienną różgą. Ah! bo cóż to za bieda!! ani się opędzić można téj cudzoziemszczyźnie! Wiesz ty Stefanie!!! Już mamy świny angielskie. Dali pan! świny angielskie! kury chińskie i kaczkę indyjskie. Ale mówiąc o kaczkach indyjskich, to przyznacie panowie, iż to nie indyjska kaczką, że Anglicy dostali po tybinkach! Czytaliście w dodatku artykuł Manna: *Kolonje i państwo?*

*Pan Stefan.* Nie czytałem. — Czy dobry?...

*Pan Dyonizy.* Arcy-dobry, powiadam panom! Arcy-dobry!! Ja trzy razy go czytałem i jeszcze raz przeczytam! Rzadko mi się dzieła publicystów dzisiejszych podobają, bo ci panowie są albo jednostronni albo marzyciele, albo piszą jak najemnicy; ale Mann się wyśadził — niech mu Bóg da zdrowie!! Stał wysoko w tym artykule! Powiadam, iż artykuł o koloniach *nec plus ultra!!* Czytalcieno tylko z uwagą. Panie Anastazy! Czytałeś artykuł Manna o kolonijach?

*Pan Anastazy.* Przyznam się, iż nie czytałem. Przywiozłem z sobą dużo książek z zagranicy i będę miał tego na parę lat.

*Pan Dyonizy.* Oh, sercuniu! to źle, moja duszko!



to źle i bardzo źle, abys się zaś uczył z francuzkich ksiązek rozumu polskiego! to się nigdy nie nada! Ta-ka zszywanina, łatanina, to jak arlekińska suknia. Będziesz miał, sercuniu, rozum srokaty jak go z różnych posztukujesz kawałków, to czarnych, to czerwonych, to zielonych. Trzeba moja duszko, czytać po polsku, kiedy masz żyć w Polsce. Zmiłuj się! daj mi słowo! Jakeś szlachcie!... Czytaj też po polsku! Można zajrzeć czasem i do autorów obcych i nauczyć się nie jednej złej i dobrej rzeczy, lecz należy najprzód rozum swój w rodzinnej prawdzie ugruntować. Zaraz-że jak wrócisz, prenumeruj się na *Czas z dodatkiem*, życzyłbym ci i inne dzieła nabyć, ale o tem potem... No! pijcież panowie!! Pana Anastazego nie zmuszam, bo młody, a wino krew rozgrzewa!... Ja, to do lat dwudziestu samą tylko wodę pijałem, i dobrze, bo też zawsze byłem krwistym, a rumiany jak piwonia.

### **Rozmowa przy drugim stoliku.**

*Pan Edmund.* Il faut avouer, że gałgany są te kupcy w Dąbrowej, aby nie sprowadzić wina szampańskiego na jarmark, gdzie się przecież ucziwi ludzie zjeżdżają.— Ty! Kelner! słyszysz?... Cóż? nie słyszysz?... Już pół godziny dzwonię na ciebie!! Czy tu w całej Dąbrowej nie dostanie Szampana? Empéreur!!

*Kelner.* Ne, pan Wielmożny! Sie bekomens in Tarnów. —

*Pan Edmund.* Otóż masz sławną Dąbrowę! a tego rozbratla ani zgryźć można!—Twardy jak podeszwa— Oh! niech żyje, Hôtel Rivoli w Paryżu! kto, powiadam, raz tego życia zakosztuje, to już potem exystować w swoim kraju nie może! Albo patrzcież na to

nakrycie!! W moim hotelu w paryżu to wszystko podają na srebrze—ważki srebrne, talerze srebrne!!

*Pan Karol.* Ale co się też płacić musi za tę parade!!?..

*Pan Edmund.* Wcale nie wiele! obiad z winem frappé à la glace, cóż cię kosztuje?... 25 franków czyli 10 reńskich.—To prawie za nic!! Już to życie w Paryżu jest tak tanie, iż kto się umie rządzić, to cały rok za 10,000 fl. m. k. doskonale żyć może, i nawet być co dzień w Teatrze!... Oczywiście gdyby chciał użyć Paryża, toby mu ta summa nie wystarczyła, ale na skromne kawalerskie życie, to myślę iż dość jest mieć rocznie 2000 czerwonych złotych—Wszakże i tu prawie tyle wydać muszę aby się zaudzić, i jeść twarde rozbratle, patrzeć na brzydkie szlachcianki, i widzieć menażeryą złożoną z niedźwiedzia, dwóch papug, wylenionej Hyeny i trzech małpek w czerwonych fraczkach — Ah! gdyby nie moja matka, to ani bym był myślał o powrocie.—Ale stryj mój słaby, a nie mógłby się odemnie odzwyczaić, więc muszę mu tu być na oczach a wreszcie i w danym razie odziedziczyć. —

*Pan Cyprian.* A stryj twój bardzo słaby?

*Pan Edmund.* Il a l'air d'être mourant, ale żyje sobie i chodzi. — Mówią że to jakaś chroniczna słabość, przy której długo wegetować można! A ja się tém czasem nudzę, i pierwój może umrę z nudów jak on z choroby — Mais il faut se résigner....No! Kelner! gadaj co jeszcze masz na karcie bo jeść tego nie można co dajesz!

*Kelner.* Jest wszecko, co się nawarzyło, a wino to mogą kazować Menischer Ausbruch, a Nüssenberger, i Liebfrauenmilch.

*Pan Edmund.* Diable le comprend ce qu'il dit!! No, pularde z ryżem, albo... kapłona z truflami.

*Kelner.* To neni jest Wielmożny pan, ale Menischer bardzo dobry.

*Pan Edmund.* Daj co chcesz byle prędko! Zatargowałem parę zrebic po angielskich oryginalnych klaczach, każę je w domu trainować—Mają po dwa lata i zaraz muszą na przyszły rok biegać.

*Pan Karol.* Któreż to są Edmundzie, czy te któreś oglądał w środkowej stajni?...

*Pan Edmund.* Vous y êtes!...te dwie gniade!..

*Pan Karol.* Ale mój Edmuadzie, to są zrebice po klaczach naszego dawnego Ekonoma, i po fornalskim naszym koniu.

*Pan Edmund.* Ale co mówisz!... Ja się znam na tém, bo to moje rzemiosło.— Obie są perwowe, chude, cienkie, delikatne, i pełne ambicyi... Jak się im da tylko na dzień bułeczkę z winem, i des excitants, to w Warszawie albo we Lwowie summy Bajońskie wygram.

*Pan Karol.* To ci zdechną, bo one i dzisiaj ledwie się na nogach trzymają.

*Pan Edmund.* C'est, ce qu'il faut mon cher, pour développer le systeme arveux dans un cheval.

*Pan Karol.* Ciekawym!! Co też to z tego wyrobisz?! mój ojciec toby temu ani uwierzył, choćby na własne oczy widział, bo powiada, że koniowi trzeba tylko sy-pać owsa aby się rozwinął!..ale bułeczkę z winem, to coś nowego!!

*Pan Edmund.* A widziałeś mego Żockeja?

*Pan Karol.* Widziałem, ale to dawny ogrodniczek twojej matki, tylko go przebrałeś. Jakież to mizerne!... zdaje się, iż ma suchoty! Gdzież chcesz mój

drogi, aby takie kuchro na koniu się utrzymało? On ci zamrze, gdy godzinę pojeździ!

*Pan Edmund.* C'est ce qu'il faut mon chère! Ja go umyślnie głodzę aby był lekkim!... On nie je na dzień tylko trzy uncye mięsa i dwie łyżki ostu, a kiedy biega to się mu daje kilka kropel wina z przyprawami!

*Pan Cypryan.* Ej, to grzech, nie lubię nawet tego słuchać! Aby zaś dla swojej zabawy człowieka głodzić. To jest tyranja, za którą się Bogu i przed sądem ludzkim odpowie. Gadajcież sobie tu panowie kiedy was to bawi, ale mnie to oburza.

*Pan Edmund.* Cóż cię tak cyprysiu porywa święta zgroza? czy i ty do wyznawców humanitarnych teoryj należysz?... Przecież posiadając znaczny majątek, więcej się ku arystokracji przechylać winienes, a widzisz, iż w najcywilizowańszym kraju jaki jest pod słońcem, to jest w Anglii, każdy Lord i każdy Gentleman, ma w służbie swojej żockeyów, którzy przez *règime* przechodzą.

*Pan Cypryan.* Za ten też to fałsz i teoryi i praktyki, Bóg Anglików karze! konstytucyą mają liberalną i zabezpieczającą wolność osobistą — a w praktyce pogarda bliźniego, pycha, nieczułość, stawia ich niżej barbarzyńców. — To luterskie kłamstwo, najwybitniej się teraz objawiło w sprawie indyjskiej... Nie! ja nie lubię tego narodu. To naród w pretensjach wygórowany i w intrygach płaski i na żadne go dla drugich nie stać poświęcenie. Za kogoż się kiedy poświęcili?... za kogóż?... Nawet za swoją wiarę (jeżeli protestantyzm wiarę nazwać można) nie umieją się poświęcić!... Nasi Missyonarze katoliccy krew własną

rozlewają ku potwierdzeniu prawdy, a ich pastory wy-  
pasają się na misyach.

*Pan Edmund.* Pewno ci to, Cyprysiu, mama twoja  
powiedziała. Cela porte le cachet d'une instruction ma-  
ternelle!

*Pan Cypryan.* Zapewne, iż moja matka jako dobra  
katoliczka nie pozwoliłaby mi Żockeja głodzić. — Bo  
to grzech o pomstę do nieba wołający!... Dość zaj-  
rzyć w katechizm!.....

### **Rozmowa przy trzecim stoliku.**

*Pan Makary.* Jak mi sąsiad możesz zaprzeczać, kie-  
dy ja byłem przy targu i wiem, że chciał za nie czte-  
ry tysiące.

*Pan Soter.* Zaprzeczam, bo wiem lepiej, będąc przy-  
jacielem i najbliższym sąsiadem pana Z... Wyraźnie  
mi mówił, iż od pięciu tysięcy ich nie odda.

*Pan Makary.* Pięć tysięcy! Za takie kaleki, co jedno  
kulawe a drugie ślepe.

*Pan Soter.* Bardzo przepraszam, bo wszystkie cztery  
są bez wady. — Jeden może nalega, ale wiem, iż się  
w drodze podbił, bo w domu nie kulał.

*Pan Makary.* Kłamstwo! wierutne kłamstwo! Ten  
koń był kaleką, jest kaleką i będzie kaleką!

*Pan Soter.* Komu to pan kłamstwo zadajesz?

*Pan Makary.* Panu! bo pan dla przyjaźni pana Z...  
w żywe oczy mi kłamiesz i chcesz mnie głupim robić!

*Pan Soter.* Za takie słowo, to pan wie co czeka?...  
Oto talerzem albo butelką w łeb najprzód, a potem  
sprawa honorowa.

*Pan Makary.* Zanim pan ze stołka wstaniesz, to pan  
pod stół wjedziesz.

*Pan Jacek.* Ależ cicho, panowie! Wstydźcie się prze-

cież ludzi! Jakże w oberży śmiecie takie burdy robić, i nam czynić dyshonor!... Panie Makary, zaklinam pana na dawną przyjaźń!

*Pan Hieronim.* Słuchajno Soterku! Jak mnie kochasz ustąp! — Nie ma się o co gniewać. Różnica w opinii! Przecież każdy może mieć swoje zdanie.

*Pan Nikodem.* No, pogódźcie się jak dobrzy sąsiedzi! Podajcie sobie rękę. Zalejemy tę sprawę!! Hej Kelner, dawaj tu wina tylko tego z obrączką!

*Pan Makary.* Bo do pasyi człowiek przychodzi, kiedy kto przeciw oczywistości mówi.

*Pan Soter.* Makary ma żal do pana Z... że mu na siew pszenicy odmówił, więc mu targ psuje.

*Pan Makary.* Kłamstwo, bo chyba pan się tak mścić umiesz, ale ja za nadto jestem szlachetny, abym pamiętał czyją nieludzkość!

*Pan Nikodem.* No! dajcież sobie pokój, bo was ludzie słyszą.

*Pan Makary.* Owszem, ja się chętnie odwołam do sądu tych panów, a wiem, iż mnie a nie panu Soterowi słusznosc przyznają.

*Pan Nikodem.* Ale któż taką sprawę rozmazuje? Na miłość Boga, uspokójciez się!...

*Pan Makary.* Ja obrazy nie daruję i proszę pana Nikodema na sekundanta.

*Pan Nikodem.* Ale nie warto!...

*Pan Hieronim.* Przecież nie ma o co!

*Pan Makary.* On mi rzekł, iż mnie uderzy talerzem.

*Pan Soter.* Mnie zaś obiecał pod stół wpakować.

*Pan Nikodem.* To dopiero rzekł, ale nie uderzył.

*Pan Hieronim.* Obiecał tylko, ale przecież nie wykonał. Więc przeproszcie się, bo nie ma powodu do krwi rozlewu!

*Pan Nikodem.* Co najwięcej, to tylko wina kilka butelek pęknąć musi. — No, Soterku, podaj panu Makaremu rękę.

*Pan Soter.* Ja pierwszy nie podam.

*Pan Makary.* Ja też nie głupi pierwszy podawać.

*Pan Nikodem.* No, więc podajcież mnie wasze ręce... dobrzel!... teraz sobie,... a teraz uściskajcie się!... No, chwała Bogu!... Wiwat, zgoda... Kelner, wina!!

*Pan Makary.* Ja funduję.

*Pan Soter.* Do mnie należy.

*Pan Nikodem.* A więc wszyscy każmy dać po parę butelek i oblejmy tę zgodę!... Chwała Bogu!! bo o lada głupstwo krew rozlewać, ani się godzi, ani przystoi... Kelner!! Cóż u diabła! Czy dopiero do Węgiek po wino posłałeś?...

### **Rozmowa przy czwartym stoliku.**

*Pan Izydor.* A wiesz ty? że ładna ta Niemeczka co gra na harfie, taki buziaczek okrągły! dam jój cwancygiera... niech ją tam!...

*Ran Celestyn.* Ej, ja nie lubię takich twarzy... wymokła jak glista!

*Pan Izydor.* Zabawnyś... przecież ci się nie radzę z nią zeuic, tylko mówię, że miły buziaczek... Taka blondyneczka!! mój Boże, i to się włóczy po całym świecie za tym groszem!... Hej! Sie! kommen Sie hier!... Sie!... haben Sie.

*Czeszka.* Ich danke untertenigst!

*Pan Izydor.* No, proszę! i to grzeczne, delikatne — nie weźmie nawet w łapę jak nasze dziewczki, tylko ci nóty nadstawi!... Jakies musi być dobre dziecko!... Słuchajno, Celestynie! daj i ty cwancygiera!... Nie zubożysz się!

*Pan Celestyn.* Ej, pleciesz! będę ci tam próżno pieniądze wyrzucał. Już kiedy stracić to za coś, ale za te brząkanie, cwancygierami płacić?!... Dam jej grajcara — ma dość.

*Pan Izydor.* Wstydź się dawać grajcara, jeszcze się obrazi. Daj jój przynajmniej sześć grajcarów.

*Pan Celestyn.* No dam jój trzy, dla twojej przyjaźni. Ich bitte!.....

*Czeszka.* Ich danke sehr!...

*Pan Izydor.* Wie viel haben Sie Jahre?

*Czeszka.* Wie befehlen?... Wie alt binn ich?...

*Pan Izydor.* Sic, nicht alt; Sie jung und schön. Sagen Sie mir, wenn Sie moechten bey meinem Mutter dienen, wie ein Maedchen?...

*Czeszka.* Das weisse ich nicht, Gnaediger herr, jezt muss ich zu hause gehen!

*Pan Izydor.* Das thut mir wehe, aber was machen! Adieu.

*Czeszka.* Atie! Gnaediger.

*Pan Izydor.* Widzisz jakeśmy się to pięknie rozmówili. Lubię takie stworzeńka, bo to nićwinne!

*Pan Celestyn.* Tyś to niewinny Izydorze, jak żeby cię dopiero pan Bóg stworzył.

*Pan Izydor.* Bo i prawda! Wiesz ty Celestus, żegdybym ja się kiedy pokochał, tobym w wodę i w ogień za moją kochanką wskoczył.

*Pan Celestyn.* A któż ci broni kochać się? Masz już lata po temu.

*Pan Izydor.* Cóż tam, lata, braciszku! Kiedy nic jeszcze nie mam na siebie oddanego. Ojciec mi nawet folwarku wypuścić nie chce, choć mu moja matka ciągle o to głowę suszy.

*Pan Celestyn.* Bo przewiduje, żebyś wszystko na Czeszki rozdał.



*Pan Izydor.* Ej, nie! Celestus! nie! Ja tam grosza próżno nie wyrzucę, tylko takie mam serce miękkie. — Sprzedałem dobrze moją wierzchową, a kupilem szłapakę, więc mi zostało jeszcze 70 reńskich, to też dobrze się z ubogim podzielić!... Ale dla czego ty się nie żenisz Celestus?... I ty masz już latka! Masz ze dwadzieścia i z pięć.

*Pan Celestyn.* Mam się żenić, kiedy mnie żadna nie chce!

*Pan Izydor.* Ej, co gadasz?!... Gdzieżby cię nie miała chcieć!! Wiesz ty co? jabym ci dał moją siostrę! jak cię kocham!

*Pan Celestyn.* Tybys mi dał, aleby mi jój rodzice nie dali, i onaby mnie nie chciała.

*Pan Izydor.* Ej, znowu?... Toby też było głupstwo, żeby ciebie nie chcieli, kiedyś dobry chłopiec i rządzisz się dobrze!

*Pan Celestyn.* Ale ja tylko jestem dzierżawcą, a twoja siostra dziedziczka!

*Pan Izydor.* No, i wielkie rzeczy!! to cóż z tego?... Przecież są i dzierżawcy uczciwi ludzie. Tybys się mojemu ojcu nadał, boś ty skąpy!!

*Pan Celestyn.* Ale twoja siostra uczona, była w Modome, jeździła do wód, mówi po francuzku, a ja sobie prostak szlachcic.

*Pan Izydor.* Ej, co tam o to! to głupstwo!! Cóż jój z tych wód przyszło? tyle tylko, że światu zwiedziła, ale ani się jój kto trafił, ani też teraz trafia, i przyszłoby jój zostać starą panną. Ona często popłakuje, że teżto nikt do niej nie zajeżdża, a mnie jój bardzo żal, bo każda panna na to żyje, żeby się wydała, a tu nic!... Jak cię kocham Celestus, zajeżdż ty kiedy!

*Pan Celestyn.* Dobrze, dobrze, zobaczą, a tym czasem ci dziękuję! Dakonczże twego wina!

*Pan Izydor.* Ej, nie będę pił, bo ja nie lubię, i jak tylko piję, to całą noc nie śpię, tylko się zrywam. — Pójdź ze mną mój Celestus, zobaczyć mego szłapaka. Ładny konik!... dereszowaty!...

### **Rozmowa przy piątym stoliku.**

*Pan Rudolf.* Powiedziałam ci, że m tak Prusaka orznął, iż będzie ruski miesiąc pamiętał. Tak się stało! Wiesz ten mój gniady naddarty i łykawy. Otóż jest tu żyd, sobaka, doskonały faktor, szwindler, szachraj, ale kto konia nie sprzeda, to on pewnie sprzeda. Mówię mu: Słuchaj Szmul, dam ci pięć reńskich od każdej setki, ale mi tego gałgana konia pozbądź!... Cóż on robi? wyprowadza tylnemi wrotami mego konia, aż za miasto, na piaski. Dopiero, jak go zacznie ujeżdżać a harapem kropić, tak konia rozpałił, jak sto djabłów, i dopiero *en karyer* wjeżdża na rynek, a koń się pieni, lancaduje, trawersa pali, nogę zmienia w galopie, to z prawej, to z lewej! A tu Prusak patrzy, i coraz bardziej się przygląda. Prusak pyta: „Czyj to koń?“ Żyd odpowiada, że jego. „Co za cena?“ Pięćset reńskich czyli 100 dukatów!... W targ, dość na tem, że łapa w łapę, ręka w rękę, zapłacił Prusak 420 reńskich za takiego gałgana co i stu nie wart.

*Pan Witalis.* O, to doskonale. Tak i mnie na przeszłym jarmarku, to mi się znowu osobliwa rzecz wydarzyła. Miałem jak wiesz tego kasztana łysego z konopiatą grzywą, co chodził na ręce... wiesz, tego dużego....

*Pan Rudolf.* Wiem... znam... tego z białą zadnią nogą!...

*Pan Witalis.* Otóż przyjechał Prusak, co miał konia podobniusińskiego, a drugą kobyłę ze źrebięciem gnia-

dą, obchudłą szkapę ale zdrową i ładną... Każe ja wyprowadzać moje konie, a Prusak zbliża się zaraz, i pyta czy mu tego konia nie sprzedam? Ja mówię, że czwórki nie będę rozrywał, tylko, jeżeli chce wszystkie cztery, to dobrze. Ale Prusak ani mnie już popuści, tylko za mną łązi! Uprzykrzyło mi się i powiadam mu że kiedy mam rozrywać, to chcę kobyłę ze źrebięciem i 200 talarów dodatku. Targował się cały dzień aż wieczór dał mi kobyłę i 130 talarów. Powiadam wam, iż sama kobyła więcej była warta jak dwa takie konie.

*Pan Hilary.* Ej, wszystko to nic! Mnie się to dopiero przytrafiło! Miałem, mości dobrodzieju, starego konia, com wziął w facyendzie od żydów za ośm dukatów. Ale to koń miał ze dwadzieścia lat, przełękowaty, nad oczami miał doły cobys bułkę włożył, na nogach opoje, ale się prezentował nie źle, miał dość ognia i był anglezowany. — Był tam i był, a najczęściej na nim inój pisarz jeździł. — W tém jarmark nadchodził, a ja sobie myślę; co mam starego handrygę próżno żywić, trzeba to wziąć na jarmark, a może trafi się głupi co kupi. Przyjeżdżam, konia kazałem wyczyścić wystrzydz, nogi szkłem wygolić, i zęby mu na 9 lat zrobić, jakby już docierał. W tém słyszę, iż jakiś młody pan szuka dla swojej żony damskiego konia! W to mi graj, myślę sobie, to ja cię tu złapię fryca!! Mówię faktorowi: „idź i powiedz, że jest taki koń ale go nie oddadzą tanięj jak 120 dukatów. Przychodzi mój młokos ze swoim koniuszym. Oglądają, a ja zręcznie koniuszemu dwa dukaty w łapę, i mówię z cicha: „to na zadatek“. Zrozumieliśmy się... Oglądają... klepią... mruczą coś do siebie... Kazali go przejechać, a ja stoję i czekam, bom był pewny swego. Cóż się dzieje? Oto sprzedałem tego konia za 112 dukatów. Dałem

jeszcze trzy dukaty koniuszemu, a zarobiłem na takiej bestyi 100 czerwonych złotych.—To tak jest jak w kartach, jak się komu szczęści to szczęści, a jak nie, to nie!

*Pan Witalis.* Gdzież będziesz Hilary wieczór?

*Pan Hilary.* Ja pójdę może do tego starego kutfy Higeniusza, bo tam się zbierają nasi na małego faraonika. —

*Pan Witalis.* To i ja z tobą pójdę -- poznasz mnie z nim.

*Pan Hilary.* Nie potrzeba poznawać, bo on nie ciebie ciekawy, tylko twego worka, ale mniejsza o to poznaj Cię— a ty Rudolfe?

*Pan Rudolf.* I ja z wami pójdę, może się co urwie, z tych jego zaplesniałych dukatów.

*Pan Hilary.* Mądry to ptaszek!... Trzeba mu dobrze na ręce patrzeć, bo on różne figle umie — najlepiej stawiać kuwerty!

---

## Druga izba jadalna.

### Rozmowa Ekonomów i Pisarzy

przy obiedzie.

*Pan Ratajkiewicz.* (Ekonom) Chłopie! przynieś mi pieczeni wołowej z kapustą i butelkę piwa! —. Takem się zgrzał powiadam panom, iż koszula aż na mnie mokra, a nie mogłem i nie mogłem księdza ziewolić coby kupić.—Podoba mu się kobyła ani słowa, i widać że ma na nią chrap, ale skąpy taki, że aż brzydko na duchowną osobę.—I biegam ze szkapą przez cały rynek to tam to nazad, a on ciągle prawi: „jeszczeno raz ją wolno puścić! A on i tak nie zgadnie jaki ma

feler, bo co na to, to ja już jedyny sobaka jestem. — Tylko tyle że jak się zaciął na ośmdziesiąt, więc przeto ani rusz dalej.

*Pan Radelski.* A ja już pozbyłem mego żróbka!.. Jakiś go tam młodzik kupił na dwa słowa, i niebyłbym go i sprzedawał, ale tylko o tego Rządcę generalnego co jest nad dobrami, który sam pana kradnie a nikomu się przy sobie pożywić nie da.—Mam nibyto w kontrakcie, na jednego konia, więc cóż ja robiący: Gdy się kupiło tego żróbka, więc się go oddało na folwark i stał tam za przegrodą przy cielętach, w krowiarni, jako są krowy w pachcie co je żyd trzyma.—Więc jednego razu, Rządca przyjeżdża, a że on lubi wszędzie nos wrazić, choć się na niczém nie zna, więc dojrzał tego żróbka, i zaraz pyta na to mówiąc żyda: „Czyj to konik“? Żyd głupi jako jest z narodu swego tchórz, powiada, że „pana Radelskiego.“—Dopiero on na żyda, i podobno wytargał go po pejsach.—No, to nic! Ale wieczór gdy przyjechawszy do domu, więc woła mnie i dopiero sobie poczyną. — Tak ja mu też mówię, żeby sobie tak wiele nie pozwalał.—Od słowa do słowa, więc aż do tego przyszło, żeśmy się nie ładnie posprzecjali.—Więc mówię sobie, jako też i mojej żonie, że co mamy do okazji przez żróbka przychodzić, tak też brewiter na sessyi powiedziałem, że kiedy to ma być za przeszkodą jakowąż, to wolę o niczem nie słyszeć, i żróbka na jarmark wywiode.

*Pan Ratajkiewicz.* Bo nic goszego nie ma w naszej kondycyi jak kiedy pan w dobrach swoich nie siedzi, a jest taki rządca. Bo co pan, to pan! Czy on tam Wielmożny, czy Jaśnie, to przecież szlachcic jest swój jak się należy. Ale taki rządca, co jest sługą jako i inni to dziesięć razy gorszy od samego pana. — Mnie

się na ten przykład, trafiała służba od Sgo Jana w takowém miejscu, gdzie jest rządca co jest nad dobrami komisarzem. Dawali mi o sześć korcy więcej twardego zboża, i o cztery korce jarego, i furaz na dwa konie, na sześć krów, a co grunt, że na osobnym folwarku; alem nie chciał. — Co mi tam kłopotu, regestrów, rachunków, raportów, kiedy ja sobie jestem u pana bez tego wszystkiego, i jak mu tam podchlebię, albo mu się pięknie skłonię, to mi da przychowac i parę jałówek i drugiego wieprzka — A klucze mam od wszystkiego. — Wolę sto razy na starém miejscu, bo mnie tam te parę korcy nie wzbogacą, kiedy mam się komisarzowi rachowac z każdego ziarnka. —

*Pan Łapkiewicz.* A mnie zaś najlepiej, bo jestem u wdowy, co jój mąż umarł przed dwoma laty. — To ona tam nic, tylko do kościoła co rano, a modli się i w nic się nie wdaje. — Choć się jój spytać, jakby to albo owo zrobić, to ona złoży ręce, i mówi, zrób mój Łapkiewicz, aby było najlepiej na chwałę Pana Boga! Oj, jedyna też to pani co się w nic nie wtrąca! Ja tam tylko biorę na cały rok 200 złotych zasług, a choćby mi kto dawał dwa tysiące tobym nie odszedł. O nigdy na świecie!

*Pan Chapalski.* Gdzież się znowu zejdziemy po obiedzie?.. Ja pójdę jeszcze na targowisko, bo chciałbym jakiego kłaka kupic na szpekulacyą, ale wieczorkiem, toby nam się wypadło gdzie zejść na halbika, żeby też popróbowac szczęścia na tym jarmarku. I tak wieczór się cnie bo nie ma co robić, więc też się zabawimy, a przyjdzie też kamerdyner od Hrabiego L...koniuszy od Hrabiego K...i strzelec od Jednerała, a ma cwan-cygierów pełny worek.

*Pan Łapkiewicz.* No, nie jestem od tego odmowny.

*Pan Batajkiewicz.* Nie źle się to czasem i zabawić, a szczęścia popróbować.

*Pan Radelski.* To i ja tam dla kompanii zajrzę. — Ale co ja, to do tych kart tom bardzo nieszczęśliwy. Ja choć w pałkę gram, to się zgram czy na złoty czy na dwa.

*Pan Chapalski.* A ja zaś tak, że kto zemną gra, to zawsze musi wygrać. Ale sobie nie krzywdzę, bo cóż na ten przykład że raz człowiek przegra, to znowu wygra ile tyle, i wszystko idzie na jedną sumę.

*Pan Radelski.* No dobrze!... nie wymawiam się od tego, ani słowa, to przyjdę, ale gdzież?..

*Pan Chapalski.* Najlepiej w tej komórce przy naszej stajni, siano się wyniesie, ławę się postawi, i ubawimy się bez przeszkody nikomu.

### Na dole izba szynkowna.

*Wojciech.* (gospodarz) Dajcież mi pani arendarko półkwaterek i kukielkę za trzy grosze.

*Żydówka.* A nie zjecie to gospodarzu kawałek gęsiny, tak jak inni gospodarze? przecież jarmark!

*Wojciech.* Juźci jarmark nieco, ale cóż mi z tego kiedym nie sprzedał. A po czemuż to? Cóż za taki kawałek?

*Żydówka.* Dwa czeskie dacie gospodarzu, dwa czeskie. Dam wam nogę i na kukielkę szmalcu.

*Wojciech.* Ej drogo!..niechęć!..sześć groszy tobym tam dał.

*Żydówka.* Dajcie dziesięć groszy, to wam przyczynię kawałek wątroby.

*Janek.* (stangret) Hej!! żydówka! daj pół garca piwa! Siadajcie panie-Onufry! Taki jest mości panku interes, że sprzedaliśmy konie, a teraz pan inne kupuje,

ale się okpił! Nic się nie trzymał, tylko za tyła dał, co mu odrazu obiecali. — Kiedy to ten nasz pan, to nigdy nie słucha, choć mu ja nawet radzę.— Mówiłem mu: nie trza tych koni tyle na kupie garusić, tylko zebrać czwórkę i halom! A pan, to ladaco kupi, albo jakiego kłaka mu kto wrazi i potém z tém tylko sub-jekcya. Nie skarżę się bom dostał oduzdnego cztery reńskie, ale mnie to nie cieszy, kiedy koni nie mamy, i tak człowiek chodzi jak głupi.

*Onufry.* A choćbyście kupili te od mojego pana?..

*Janek.* Ej, co mówicie, za drogie! tyle on nie da— ze trzysta toby dał, ale na więcej toby sam nie dozwolił. Potemby było z naszą panią turbacyi, że tyle pieniędzy wydał! ani sposób...

*Wojciech.* Arendarko!..No! dacie wy to faryńsko za siedm groszy to wam dam.

*Żydówka.* Co gadacie Wojciechu! ktoby wam dał za siedm groszy.

*Wojciech.* A wybyście dali nie kto!...

*Żydówka.* Chcecie Wojciechu? to wam dam za ośm groszy, ale kuper.

*Wojciech.* Ej! ktoby się wam tam z kuprem zaba-wiał!! chudzizna!

*Bartek.* (inny gospodarz) No Macieju! jakem wam rzekł! życcież mi!! Oj rety, o kiepską ćwiartkę tyła targu!

*Maciej.* Kiedy nie będzie inaczéj— próżno wiela ga-dacie!

*Bartek.* Jenó jak?

*Maciej.* Jenó tak, jakem wam powiedział.

*Bartek.* Dyc, bójcież się Boga! nie ociągajcie mnie!

*Maciej.* A jakże! Boga się boję, ale inak nie dam.

*Bartek.* Słuchajcie jeno! to przepijma tę ćwiartkę!



*Maciej.* (splunąwszy) Ej, kiedy będzie moja krzywda,  
*Bartek.* Nie będzie Macieju, nie! trąćcież, trąćcież  
 lekko, no! trąćcież jeszcze raz! Dobrze! pójdźcie do  
 pieniędzy. — Ileż to tego: „pięć dukatów i jeden bity,  
 to wiałż to na polskie?.. Czekaście... to będzie sto  
 złotych bez sześciu.

*Maciej.* Ale więcej będzie! kaj zaś! o wiele więcej,  
 obrzuci sto złotych.

*Bartek.* Co ma obrzucić, jeszcze nie dopisze.— Cze-  
 kajcie spytam się organisty co hain miód pije... Pro-  
 szę też bardzo pięknie pana organisty i pani organi-  
 ściny — wiele to uczyni na polskie pięć dukatów i je-  
 den bity?

*Organista.* Ho, ho! Ja wam to zaraz wyłuszcę,  
 tylko żeby kawałka kredy, bo się tak z pamięci nie da  
 powiedzieć!... Zaraz pięć dukatów, to jest raz 18 zło-  
 tych i drugi raz ośmnaście.— Oho! dopiero do piątego  
 razu tak!

*Żydówka.* O co się pytacie?.. pięć dukatów i bity, to  
 98 złotych albo sto złotych bez dwóch.

*Organista.* Co się ma dzisiaj, że tak powiem, żyd,  
 albo żydówka do tego odzywać, co jest między oby-  
 watelami!! Pięć dukatów i bity... Zaraz!... żeby bez  
 bitego, toby było równe pięć dukatów, a z bitym to  
 jest pięć dukatów i bity. Tak jakoś wypadnie, tak!...  
 albo nie doniesie o małego figla 100 złotych, albo i  
 o włos przeniesie. — Najlepiej to jest na papierze wy-  
 dystylować co do grosza.

*Wojciech.* No, arendarko dam wam już ośm groszy,  
 ale mi kupra nie dawajcie, bo po próżnicy...

*Żydówka.* Ny, macie już nogę... macie... a dajcie  
 mi raz pokój.

*Wojciech.* A przyczynicież mi szmalcu i wątroby, coście się odkazowali przyczyniać.

*Żydówka.* To wam się odkazywałam na dwa czeskie a nie na ośm groszy.

*Wojciech.* No, jakato robota taka! obiecali, a teraz zapierają. Dajcież mi tego szmalcu!

*Żydówka.* Macie już i szmalec, a dajcie mi pokój, bo nie mam czasu...

*Wojciech.* Wydajcież mi z reńskiego.

*Żydówka.* Oto macie 56 kr. reszty...

*Wojciech.* Kiedy mi dajecie podartego papierka, to mi go nie wezmą...

*Żydówka.* Macie inny papierek i idźcie z Bogiem!

*Wojciech.* Wyganiacie mnie to zaś arendarko? albo ja wam to nie dał utargować?

*Żydówka.* No to siedźcie, ale wołają na mnie ludzie a wy mnie zabawiacie.

*Bartek.* Najlepij tak będzie, że odrachujemy pięć kupek każda po dukacie a potem bitego.

*Maciój.* No, dobrze i tak będzie, bo, tak się już nie oszuka.

*Bartek.* Ale cóż będziemy pili za tę ćwiartkę?...

*Maciój.* A jużci nie można jak chyba haraku, bo ja na trunek przysięgał.

### **Rozmowa w izdebce przy szynkowni.**

*Jankel.* Herste Mojsiele! dus ist a geschäft, wus ist ganz rar. — Der inge pirez wolte mir zwanzig gilden geben, und ich hab nicht gewollt. — Ich soll so glücklich leben!

*Mojsiele.* Wus willst dy haben? Die stute ist nyr hundert fünfzig gilden werth, und ich gieb dir schoin hundert finf und fünfzig

*Abraham.* Gaj nyr gaj! — hast genig, auf meine munes.

*Jankel.* Jch will mich vergleichen, so wahr wie ich lebe, gieb mir hundert siebezig, ynd sein wir puter.

*Pan Zadziński.* (ekonom pod dattą) Co wy tu szachrujecie cygany! Zmawiacie się na naszą skórę? Ja wam tu dam kanalije żydy, gałgany, złodzieje!

*Jankiel.* Ny, co pan ma nas tu zaczepić, i przezywać, kiedy my do pana nic nie mamy. — My sobie tu gadamy o swoich interesach, a pan kiedy ma interes to niech sobie idzie na całym świecie. —

*Pan Zadziński.* A co mnie ty masz parchu gadać żebym sobie szedł?.. karczma jest pańska i dla gości, ale nie twoja, rozumiesz?.. Jakbym cię tym kijem lunoł, tobyś się aż na waszym kirchowie oparł. — A to szelma żyd, będzie mnie z karczmy wypędział, co ja tu jestem każdego dnia, nie tylko w jarmark ale i w dzień powszedni.

*Abraham.* Ny, proszę pana, panie Zadziński, niech pan będzie cicho! Ja przecież pana znam i ja panu znowu na ten Śty Jan służbę u obywatelów wyszukam, ale kiedy się pan napił, to niech pan idzie się prześpić, a niech pan awanturów nie robi!

*Zadziński.* Albo ja cię to proszę, ty stary cyganie, abys mi służby szukał! Ja sobie jestem pan! rozumiesz?... Mój brat stryjeczny jest ksiądz, i ma samych dukatów węgierskich stokroć tysięcy w sakiewce; a po jego śmierci kto to weźmie!... Pan Jan Zadziński, ten, który tu stoi! A ja takich jak ty, to będę miał dwie kopy na zawołanie? świstnę, fiu!! i już są.. Że dziś jest jarmark to ani słowa!... ale ja mogę wszystko zakupić!.. Ja pójdę sobie do stajni, i pytam co za tego koma!.. Dwiescie karbowanów!!..

zaraz płacę i konia biorę i już mam. A wy hycle, gałgany, to nie znacie, co jest mój honor?! Że ja jestem Wielmożny JMćPan Jan Zadziński exrządca ekonomiczny.

*Abraham.* No idź Jegimość, idź, bo będę policyanta zawołać.

*Zadziński.* Co mnie ty będziesz policyantem straszyl, ty psiawiaro żydzie! — Ja tu tylko krzyknę, a już na tysiącset łokci pod ziemią. — Chłopy!! bić żydów, hyclów, bo wódkę hałunem zaprawiają, co kiszki pali.

*Chłopy* (się zbiegają) Co to? kaj żydy? O psiawia-ry!! nie warto jak ich zbić hyclów, a wódkę im wytoczyć.

*Żydówka.* Gwałt! gwałt! panie policyant! zmiluj się aby powiedzieć na ratusz że rozbój!!

*Władza policyjna.* Co to za wrzawa?... Co się tu za gwałty robią?

*Zadziński.* Przeświętny urządzie! Ja tu porządek robię, aby wszystko było dobrze! — Albowiem jako ja jestem tu przytomny, iż wódka ma być trunek podejrzany, który nie jest jako być powinien.. — Więc przeto mówiłem do tego ludu jako są świadkowie, a żydy chciały mnie wypchnąć, a zatem o to wszystko się dopominam i nie więcej.

*Abraham.* Ten pijak, ten galgan, zbojownik, chciał nas zabić, i ledwie przez okno uciekaliśmy na strychu do stajni. To go każdy zna, jaki on jest, co lepiej spotkać psa jak jego.

*Zadziński.* Z przeproszeniem prześwieznego urzędu i całej kompanii, ale muszę zamalować żyda w pysk (wali żyda).

*Żydy.* Aj wój! co to jest — on go zabije do śmierci!

*Urząd policyjny.* (do Zadziarskiego) Maszeruj Wacpan zaraz do aresztu! a jak się przespisz, to będzie sprawa, której skutki strona przekraczająca sobie przypisze.— A teraz wszyscy ludzie niechaj wyjdę z szynku, aby się urząd przekonał, czy w istocie trunek jest sfalszowanym.

*Organista.* Ja będę świadczył personaliter Wielmożny Magistracie, że miód jest dobry, również jak i moja żona, co go piła, a córka moja pilnuje jałówki cośmy kupili jako na pannę przystoi.

*Urzędnik.* Nikt się tu Wacpana o to nie pyta, tylko proszę się teraz usunąć na kilka minut.

*Organista.* Dobrze! słucham i jestem posłusznym, ale też później, to wolno będzie powrócić, żeby też jeszcze pokosztować tego miodu, bo też sprzedałem cielka a kupiłem jałówkę, co ją trzyma moja córka, albowiem jest cielna!

*Urzędnik.* Nie bałamucić, tylko wychodzić na kilka minut mówię,— Możesz sobie Wacpan iść zobaczyć nowe kupno!

*Organista.* Oh dobrze, bardzo dobrze! bo ona mi się zdaje, że będzie cielną, na grudzień!

### **Wieczór szulerski u pana Higieniusza.**

*Pan Edmund.* Attendez!— albo nie!.. abzug passe!

*Pan Higieniusz.* A ta kuwerta co robi?..

*Pan Hilary.* Nie turbuj się pan o nią!.. Za pozwoleniem, parol z czwórki na inną... zaraz! proszę zaczekać, bo jeszcze karty nie wypstryknałem.— Już dobrze!

*Pan Higieniusz.* Tout va!... proszę o dziesiątkę, bo przegrała.

*Pan Makary.* Przepraszam, parol au rébours.

*Pan Higieniusz.* Ta kuwerta leży bez końca! ja wcale

takię gry nie lubię.—As przegrał... Jeden, dwa, trzy assy—ale szóstka wygrała, czy mam płacić?..

*Pan Nikodem.* Proszę o dukata... .

*Pan Hilary.* Attendez!! Six lewa i oprócz tego druga kuwerta pięć dukatów.

*Pan Higieniusz.* Przepraszam pana, ale dwóch kuwert nie pozwolę trzymać!

*Pan Hilary.* Mniejsza o to, więc co oko to dukat, dziesiątka.

*Pan Higieniusz.* (ciągnąc) król wygrał, dama przegrała.

*Pan Hilary.* A więc proszę o 30 dukatów za kuwertę. Wolno przepatrzeć: trzy razy król wygrał.

*Pan Higieniusz.* Czy djabli nadali z temi kuwertami! to głupia gra, w tém nie ma ani sensu ani kombinacji.

*Pan Hilary.* Musi być w tem sens, kiedy wziąłem za tę sztukę 30 dukatów. — No, jedźmy dalej... co zrobi dziesiątka?

*Pan Higieniusz.* Dix, et dix — plié — proszę o 5 dukatów—Błazęj dawaj herbatę —

*Pan Zenon.* (wchodząc) panów Dobrodziejów sługa najniższy. Gospodarzowi moje uszanowanie.

*Pan Higieniusz.* Mości Dobrodzieju! scieleę się pod stopy pańskie — Błazęj podaj panu krzesło i herbaty z rumem.

*Pan Zenon.* Ale ładny banczek, czy się już dawno panowie bawicie?

*Pan Higieniusz.* Wcale nie dawno, zaczęliśmy podobno o piątę a teraz nie ma jeszcze dziesiątę.—Błazęj podaj panu poniterki.

*Pan Zenon.* Dziękuję, mam swoje w kieszeni, bywały one czasem szczęśliwe.

*Pan Higieniusz.* Życzę panu Dobrod. z serca, aby cię i dzisiaj nie zawiodły!

*Pan Zenon.* Zaraz! zacznijmy od waleta pomalutku, dwa dukaty!

*Pan Higieniusz* (ciągnąc). Ustrzelona soniko, a to szczególnie traf, powiedziałbym żeś go pan podejrział. Czyli mam służyć?...

*Pan. Zenon.* Nie Mości Dobrodz. parol na dwójkę a oprócz tego na tę samą pięć dusiów extra — są tu wystawione.

*Pan Higieniusz.* Dobrze! piątka przegrywa grubo! proszę panów o pieniądze, *lapa se retire* — Już to nie ujmując wszystkim panom, przyznać muszę, iż pan Zenon najpiękniej gra! — śliczną ma grę! — aż miło do niego przegrać — *Tout va, rien ne va plus*... No proszę? wygrała dwójka 11 dukatów! Czy pan rozkaże?.

*Pan Zenon.* Przepraszam gnę dalej na piątkę z dwóch dukatów, a z pięciu na króla.

*Pan Higieniusz.* (ciągnąc) A to rzecz niesłychana! piątka wygrywa!! co pan robisz?

*Pan Zenon.* Douze lewa pod króla z piątki —

*Pan Hilary.* Trzymaj pan wyżej karty, bo nic nie widzimy, a jedna świeca na taki duży stół nie wystarcza.

*Pan Higieniusz.* Nikt się nie skarży prócz pana, który jeszcze kuwertę trzymasz.

*Pan Edmund.* Ale fi donc! co też pan Hilary zawsze jakieś kwestye robi!

*Pan Makary.* Ale ma racją pan Hilary, bo przecież żaden bankier pod stołem talii kart nie trzyma.

*Pan Higieniusz.* (ciągnąc) Oh żałuję, szczerze żałuję król przegrał — mam pięć dukatów!

*Pan Zenon.* To nic nie szkodzi, płacę, a dama stoi 15 dukatów.

*Pan Higieniusz.* Nieszczęśliwie!! w pierwszym abcugu zabita!.. Cóż pan robisz?

*Pan Zenon.* (zapalając się) Au Rebours i 15 Dukatów mazo....

*Pan Higieniusz.* Siódemki przegrały! panie Edmunde racz zapłacić twój parol, ... Ale i pan Nikodem także przegrał, a nie widzę pieniędzy...

*Pan Nikodem.* Bo ta karta nie stała, tylko tak sobie leżała.

*Pan Higieniusz.* Tak nie uchodzi—skoro leży, to stoi po téj cenie co i inne, mam więc pięć reńskich — Tout va... Ah! cóż za nieszczęście! Dama przegrywa as wygrywa.

*Pan Zenon.* (w ambarasie) Quitte ou double dama.

*Pan Higieniusz.* (z słodką minką) Byłoby to bardzo dobrze, tylko że głos słyszę, ale pieniędzy nie widzę, a u mnie zwyczaj „Ryba fisch, geld auf dem Tisch.—Przeto wolałbym najprzód te 60 dukacików zgarnąć a potem służyć.

*Pan Zenon.* Przecież mnie pan znasz, że jestem odpowiedzialnym.

*Pan Higieniusz.* Znam, Kocham, szacuję, ale najprzód pieniążki rachuję.

*Pan Zenon.* Nie wziąłem tu z sobą tylko 300 reńsk. a resztę w domu zostawiłem.

*Pan Higieniusz.* To też jak obszył 300 reńskich mi się należy i proszę o nie jak najuniżeniej.

*Pan Zenon.* Masz pan, ale musisz mi się pozwolić zrewanżować! Mam tu czwórkę koni, za którą mi dawano 1000 reńskich.

*Pan Higieniusz.* Prawda, wiem o tém, jeżeli więc nie



sprzedana, to możemy grać na koniki. Przyjmę każdego po 250 fmk., czyli po 50 czerwonych złotych, a nawet aby panu okazać moją bezinteresowność, to przyjmę w grze po 300 fmk.

*Pan Zenon.* Dobrze więc!... Licowa jeszcze raz na damę!

*Pan Higieniusz.* Na próżno, bo już damy nie ma w tej talii... cztery najniezwyklejszej padły.

*Pan Makary.* Ale jest jeszcze jedna.

*Pan Edmund.* Esprit de contradiction! Ale nie ma! nie ma!

*Pan Zenon.* Ale czy pan pewnym jesteś?

*Pan Edmund.* Jak tego, że żyję!

*Pan Zenon.* Więc dziewiątka — 300 guldenów.

*Pan Higieniusz.* Talja się kończy, czylibyś pan nie wolał do nowój się zatrzymać?... nie ma jak sześć kart.

*Pan Zenon.* Nie! ciągnij pan...

*Pan Higieniusz.* Co za dziwny traf!... Dama wygrywa, dziewiątka przegrywa!

*Pan Zenon.* To więc nie ważne, bo ja chciałem stać się damą, a pan powiedziałeś, że nie ma! A pan Edmund tu widzę krupieruje.

*Pan Higieniusz.* Miał pan prawo kazać przejrzeć karty, ja spamiętać nie mogę... więc już moja licowa.

*Pan Edmund* (do Zenona). A pan mi dasz jutro sprawę z wyrażenia, iż „krupieruję“.

*Pan Zenon.* Bardzo chętnie, na jaką tylko broń sobie pan życzysz... Ale ja tę przegraną oddaję pod sąd panów.

*Pan Makary.* Niestety! przegrałeś.

*Pan Nikodem.* Ostrzegali cię bankier, iż jest tylko 6 kart, twoja więc wina.

*Pan Zenon.* Niechaj więc będzie! Przeto stawiam ezwartlową z białą nogą.

*Pan Higieniusz.* Zaraz, zaraz, momencik! niech karty stasuję... Może pan życzysz sobie zbierać, wymawiam sobie tylko, żeby ani na trzy karty ani na jedną — a zresztą jak się podoba.... Dobrze!.... Błazek, podaj panom herbaty i cygar, a mnie wody szklanekę. Zrazy tak słone jadłem.

*Pan Zenon.* No! prędzejże panie! czekamy!...

*Pan Higieniusz.* Będzie na czas... w ten moment!. Błazek, wody, mówiłem ci... Dobrze... więc już!... jakąż pan kartę stawiasz?... Czy kuwertę?... niech będzie i kuwerta, ale ją tylko raz trzymam i jak wyjdzie, to proszę odkryć, bo się dalsze wygrane liczyć nie będą... No! proszę?... Znowu panna przegrywa, a szóstka wygrała.

*Pan Zenon* (mnąc kartę i ciskając o ziemię). To druga już kobyła poszła!... Ah! co za nieszczęście!...

*Pan Higieniusz.* Niech się pan Dobrodz. nie alteruje, to tak bywa jak w karty grał!... A mam też u pana Nikodema pięć dukacików, których z upragnieniem wyglądam... i u pana Hilarego także za kuwertusią dzie sięć dukacików.

*Pan Hilary.* A jak możesz wiedzieć jaką ja kartę trzymam?... To pan znasz pouiterki! — Oho! panowie! coś się w tem święci. Trzeba tu wziąć bankiera w kupę!

*Pan Higieniusz.* Przecież domyślić się można, wiedząc, że pan zwykłeś stawiać na przegrywające.

*Pan Hilary.* O nie, mości panie, my się znamy na lisach.

*Pan Higieniusz.* Kiedy tak, to składam karty i nie ciągnę.

*Pan Zenon.* Nie uchodzi, Mospanie, kiedys nas zgrał! my żądamy odwetu.

*Pan Makary.* Jak pan głośz z banku cofniesz. to tu pana bez kart zdebankujemy! bo my uczciwie gramy, a pan jesteś szuler z profesyi.

*Pan Higieniusz.* Trzymam, ale tylko panu Zenonowi.

*Pan Hilary.* Przepraszam, boś nas pan wszystkich zgrał i znasz karty, a więc oddaj pieniądze, albo cały nie wyjdiesz!...

*Błażej.* Proszę Wielmożnego pana! pani gospodyni Wyteralska z bratem przyjechała, chce koniecznie tu przyjść do Wielmożnego pana, bo ją ekonom poprał!

*Pan Higieniusz.* Niech czeka!... Oh! nieszczęśliważ moja godzina! Widzicie panowie, że mam nowy kłopot (zbierając pieniądze).

*Pan Hilary.* Stój, oszuście! nie weźmiesz tych pieniędzy aż karty zrewidujemy!

*Wyteralska* (wpadając). Na to mnie to pan uwiódł, abym teraz od takiego szelmy, łajdaka, po pysku brała? na co mam świadków jako zaprzysięgną wszyscy! Żebym ja była tak nieszczęśliwą! Ja tu przed tymi panami wszystko opowiem, jak mnie to pan zwodził, i na com teraz wyszła...

*Pan Hilary* (przeglądając karty). Dama cztery razy przekłuta! Walet, raz w środku przekłuty -- dziesiątka na brzegu paznokciem zamięta! Oszust! łajdak -- weźmy karty i opieczętuźmy wszyscy naszymi pieczętkami!

*Pan Higieniusz.* Ale na Boga się zaklinam, że najuczciwiej z panami grałem, nie róbcież awantur (chce pieniądze zbierać).

*Pan Hilary.* Jak się raz jeszcze pieniędzy dotkniesz,

to ci kikut złamię. — Rachujcie panowie pieniądze, bo je także opieczętujemy.

*Pani Wyteralska.* Otóż słuchajcie, panowie! Więc jakim była młodą, tak mnie ten niegodziwiec wabił na słówka takie i owakie!...

*Pan Hilary.* Daj nam pokój czarownico, z twoim kochankiem...

*Pani Wyteralska.* Dopiero mi pięknie na takich słusznych panów, takie słowa mówić! niespodziewałam się tego. A pan teraz jak wilk patrzy! że ja tu przyjechałam z bratem. Ja go tu zaraz zawołam, to on dopiero powie, bo ja ztąd nie wyjdę, dopóki moja krzywda nie będzie nadgrodzona!

*Pan Hilary.* Jutro zwołujemy sąd honorowy, i przynajmniej tego farbowanego lisa wyblichujemy!

*Pani Wyteralska.* I ja też zwołuję sąd na moją krzywdę.

*Pan Nikodem.* Jest w papierach 3500 reńskich. Złotem czterysta dwadzieścia pięć dukatów, a srebrem 81 reńskich.

*Pan Higieniusz.* Przecież tę summę do banku włożyłem!

*Pan Hilary.* Kłamiesz, boś sam powiadał, że do banku kładziesz ośmset reńskich i 100 dukatów.

*Pan Higieniusz* (do p. Zenona). A kobyły, każ mi pan odprowadzić.

*Pan Zenon.* Niech się pan nie boi, to com przegrał, tom przegrał, kobyły są pańskie. Chociaż zdradliwie wygrane, ale to moja wina, że tu przyszedłem.

*Pan Higieniusz.* Nie, panie! Szlachetność pana mnie zwyciężyła — klacze panu zwracam i z moich pieniędzy oddaję te 300 reńskich, któreś pan przegrał. Gdybym był z równie szlachetnymi jak pan jesteś grywał,

nie byłbym był nigdy w potrzebie pomagania szczęściu!...

*Pan Nikodem.* Słuchajno! mości Higieniuszu! Ten twój czyn pokazuje, że pod śmieciami twego charakteru tyle zepsutego, jest jeszcze jakieś ziarnko uczciwości! Dla tego prosiłbym za tobą panów, tak jak tu jesteśmy, aby tę sprawę zgodnie ukończyli, pod dwoma wszakże warunkami. Najprzód: abys się nie ważył nigdy i nigdzie w granicach naszego kraju grywać, a powtóre: iżbys odebrawszy sobie to co wniosłeś do banku, resztę wygranęj, stosownie do strat jakie kto poniósł, zwrócił. Czy zgoda, panowie?

*Pan Hilary, Makary, Edmund.* Zgoda! zgoda!

*Pan Nikodem.* A pan, mości Higieniusz, zgadzasz się na to?

*Pan Higieniusz.* Niech i tak będzie! Proszę pana, abys raczył sam rozdzielać.

*Pan Nikodem.* Teraz jest druga sprawa! pan Edmund i pan Zenon, z krewkości przy kartach wyzwali się na pojedynek — proszę panów abyście tych obywateli skłonili do zgody!

*Pan Hilary i pan Makary.* Prosimy bardzo, aby dla nas raczyli tę łaskę wyświadczyć i podali sobie ręce! Brawo! dobrze! Chwała Bogu!

*Pan Zenon.* A ja, który w tej sprawie najwięcej nadspodziewanym postępkiem pana Higieniusza upokorzonym jestem, i za namiętność moją do kart ukaranym, daję słowo szlacheckie, iż się już nigdy w mojem życiu karty nie dotknę — bo widzę ile to złych następstw za sobą pociąga!!

*Pani Wyteralska.* Mój Boże, kiedy się też panowie tak pięknie pogodzili, to też i moją sprawę niech będą łaskawi rozsądzić.

*Pan Hilary.* Niech was tam diabeł sędzi. — Tegoby też jeszcze brakło, żebyśmy starą kochankę ze zgrzybiałym kochankiem sędzili! Niech się Wpani do sądu uda, to może twojego niewiernego oblubieńca do kozy wsadzą!

*Pani Wyteralska.* Oj dobrze mu tak będzie! dobrze! za moją krzywdę, com była głupia, zem mu uwierzyła!

(Panowie wychodzą).

*Pan Higieniusz.* Błażek! każ zaprzęgać.

*Błażek.* Kiedy noc, że aż ćma, ani konia uwidzi!

*Pan Higieniusz.* Każ, mówię ci, zaprzęgać. — Żyda zbudź, aby podał rachunek. — Jadę!... jadę zaraz!.. Jadę, choćby o milę.

*Pani Wyteralska.* A jakże będzie z moim interesem?

*Pan Higieniusz.* Będzie! będzie! ułożymy się, ułożymy! tylko Błażek każ zaprzęgać! Oh! nieszczęśliwa moja godzina! Miałem już do 5000 reńskich wygranych... Jadę! do Hamburga!... Jadę do Londynu, pojedę! Sprzedam wieś za co za to! albo oddam panu Walentemu!

*Pani Wyteralska.* Skoro pan chce darować panu Walentemu, to ja zaraz jutro do sądu idę, i skarżę, iż mnie pan przysięgał zapisać, jak o tém wie i organiscina, bom jej sama powiadała.

*Pan Higieniusz.* Ale cicho! cicho! ja już zrobię i komuś zapiszę, tylko pojedę. — Błażek! Słyszysz? pakuj i każ zaprzęgać, bo jadę, gdyż tu już nie ma co robić!...

### ODDZIAŁ III.

#### SCENA POJARMARCZNA.

*Pan Stefan.* No, pojedziemy już, kochany Dyonizy! Żona nas tam czeka! Konie sprzedałeś... Marnotrawnych synów na drogę poprawy zawiodłeś. — Pupilla sobie znalazłeś, więc musisz być z jarmarku kontent.

*Pan Dyonizy.* W istocie dobre porobiłem interesa, ale jeszcze jest jeden bardzo ważny do załatwienia, i dla tego dzisiaj jeszcze pragnę zostać, a ty mi w tém dopomożesz! Oto nasz poczciwy pan Stanisław pogorzał. Stryto mój kolega, człowiek poczciwy. Ojciec kilkor-ga dzieci, ale nieszczęśliwy pod względem majątko-wym. On się sam nie podniesie, jeżeli go nie podźwi-gniemy. Wiesz przeto Stefanie! Idź ty do twoich i po-mów o tem, a ja znowu obejdę braci szlachtę... Z ra-dością powiedziec tu muszę, iż mój pupil Anastazy, nader pięknie się znalazł. Aż do łez mnie poruszył!..

*Pan Stefan.* I cóż zrobił?..

*Pan Dyonizy.* Jak wiesz, że miał sobie jakieś para-dyery kupić, i na to dała mu matka 500 reńskich mo-netą. Otóż dowiedziawszy się o położeniu pana Stani-sława, rzekł do mnie z niesmiałością młodzieńczą, ale tak pięknie duszę jego cechującą: „Proszę pana przy-jąć tę skromną ofiarę pięciuset reńskich dla zacnego po-gorzelca, ja się bez koni obejdę, ale on bez dachu „obejść się nie może.“

*Pan Stefan.* „Ocierając łzy,“ pięknie! pięknie! dobre dziecko! Dałbym mu zaraz córkę, ale że moja córka niemajątna, więcbym go z moją sąsiadką wyswatał, bo godzien tego chłopiec, godzien dobrej żony!! Dobrze Dyonizy! dobrze! pójdę między szlachtę i zbieram dla

twego pogorzelnca, a sam ofiaruję mu sto sosien, pięć dębów na przyciesi i lat kóp dziesięć. Pieniędzy nie mam, bo wiesz żem goły;.. I dłużki też są. Owce mi wyzdychały, ale co materyałem to się przysłużę... Zaraz każę odcechować!

*Pan Dyonizy.* Bóg ci zapłać, Stefanie! dziękuję ci serdecznie, a teraz pójdę między szlachtę.

## Pan Dyonizy

(na podcieniu w pośród szlachty).

*Pan Dyonizy.* Panowie bracia, nie będę się długo rozwodził, ale powiem, że taki tu jest interes krótki a węzłowaty. Jeden z naszych współobywateli, człowiek prawy, dawny wojak, ojciec kilkorga dzieci, jest w nieszczęściu!... Pogorzał ze szczętem!... Stodoły, dwór stajnie i spichrz nawet. Na lichój jego wiosce taka strata jest niepowetowaną. Zginął na wieki i dzieci jego bez chleba, żebrać go u naszych drzwi będą. Czy na to pozwolimy?.. do was należy odpowiedzieć!!.. Niech się każdy z was własnego serca zapyta, a ja wam tylko powiem kto jest ten obywatel, który uległ nieszczęściu! Oto... Stanisław!!

*Pan Nikodem.* Stanisław?... nic o tem nie słyszałem, więc to musiało w tych dniach nastąpić; wszakże z nim sąsiaduję!!

*Pan Hilary.* Biedaczysko! stary oficer! dekorowany.

*Pan Soter.* Ah! cóż za okropny wypadek!

*Pan Edmund.* Ma foi, c'est malheureux!

*Pan Makary* (wzruszony głęboko). Słuchajcie panowie! mam myśl, czyli projekt, do którego się zapewne przychylicie! Wczoraj wydarliśmy jakby z paszczęki lwa, bo z rąk karciarza, 5000 reńskich, które już jako



przebrane, przestały być naszą własnością. Jeżeliśmy więc na ołtarzu szatana pieniądz ten składali, toć szlachetniej i zbawienniej będzie złożyć je na ołtarzu obowiązków chrześcijańskich i obywatelskich. Proponuję więc, aby każdy część swoją od szulera odebraną, na korzyść pogorzelnca złożył? Czy zgoda??!...

*Szlachta* (jednomyslnie) Zgoda! zgoda! zgoda! Bravo, Makary! Brawo! śliczna myśl.

*Pan Makary.* A więc, zacny panie Dyonizy, pozwól że ci pierwszy moją sumę złożę.

*Pan Edmund.* Diantre! Il faut bien aussi!...

(Wszyscy składają.)

*Pan Dyonizy* (głosem, przerywanym łkaniem). Pano-  
wie bracia! zacni współobywatele! Dziękuję wam imie-  
niem mego starego przyjaciela i kolegi, oraz imieniem  
jego dziewięciorga dzieci za tak szlachetną pomoc, któ-  
ra rodzinę tę ostatecznie z nędzy wydzwignie. Dzięku-  
ję wam za ten przykład, jaki krajowi dajecie! Powia-  
dają niechętnie nam liberały, że już szlachty nie ma,  
że szlachta zbutwiała! — Otóż daliście świeży dowód,  
iż szlachta żyje, i że w sercu nosi nie wyczerpany za-  
ród czynów szlachetnych i poświęcenia bez granic. —  
Bóg wam to zapłaci!!

## Rozmowa Kalendarza Katolickiego

Z KALENDARZEM KRAKOWSKIM J. CZECHA.

*Kalendarz Krakowski.* Powiedzno mi kolego, czém cię na ten rok twój autor tak objuczył, że grubszym jesteś jak po inne lata?

*Kalendarz Katolicki.* Bo mnie wysłał na jarmark do Dąbrowej po towar literacki i wracam obładowanym, tak, iż ledwie udźwignę.

*Kalendarz Krakowski.* Ale przecież za moich czasów to tylko sprzedawano konie w Dąbrowej.

*Kalendarz Katolicki.* Tak bywało dawniej, ale teraz to koni już nie ma, tylko plotki, a ja zebrawszy ich pełny worek, niosę do miasta na pozbycie...

*Kalendarz Krakowski.* Jakto? aż do Dąbrowej po plotki chodziłeś? A tu przecież byłbyś ich u nas na furę nazbierał i to bezpłatnie.

*Kalendarz Katolicki.* Ja wiem, ale miejscowe to nie mają takięj wartości, jak ograniczne, albo jeszcze lepiej zagraniczne! Te, to dopiero popłacają!

*Kalendarz Krakowski.* No, proszę? dawniej plotki wymiatano jak śmieci, a dzisiaj za nie płacą! Jak to prze-mysł idzie w górę i cywilizacya!

*Kalendarz Katolicki.* Mój autor się na to sam obraża, ale cóż temu poradzi?!... Musi uleść, bo powiada, iż Bóg tylko przemienia usposobienie serc ludzkich, i ku poznaniu dróg zbawiennych je kieruje, ale człowiek pojedynczy, obyczaju nie zmieni.

*Kalendarz Krakowski.* Ale gdzież tam ma zmienić! tylko sobie tworzy nieprzyjaciół! I np. twego autora nazywają uliczniki Jezuitą!

*Kalendarz Katolicki.* Bo też prawda, że jest przyjacielem Jezuitów, gdyż ten zakon ma rozum i poświęcenie.

*Kalendarz Krakowski.* A jakże też twemu autorowi idzie tego roku wydawnictwo?...

*Kalendarz Katolicki.* Jeśli się chcesz dowiedzieć, to przeczytaj obrazek, co tu poniżej umieścił.

*Kalendarz Krakowski.* Znowu obrazek? a cóż tych obrazków!

*Kalendarz Katolicki.* Nie może być inaczej, bo mowa i pismo są obrazem życia i czasu, w którym żyjemy.

*Kalendarz Krakowski.* Prawda!!

# PRZYGODY LITERACKIE.

## OBRAZEK I.

### **Autor i Wydawca.**

*Autor.* Miałbym z szanownym panem słówko do pomówienia, jeżeli nie zajmuję w tej chwili drogiego mu czasu.

*Wydawca.* Cóż pan rozkażesz?

*Autor.* Mam tu przy sobie małą pracę, która mnie kosztowała kilka lat mozołu i starannych poszukiwań. Otóż życzyłbym sobie sprzedać ten rękopism za cenę bardzo przystępną, bo się momentalnie znajduję w krytycznem położeniu. Jest tu do 400 arkuszy pisma, jak pan widzisz, nader ścisłego. Za całe zaś dzieło nie żądam więcej jak 4000 złp. czyli 1000 reńskich.

*Wydawca.* Ale jakież jest przedmiot tego dzieła i o czém pan głównie traktujesz?

*Autor.* W istocie trudno jest oznaczyć wybitną cechę tego (o ile mniemam) ważnego utworu — bo połączyłem w szerokich ramach założenia ideę religijną, z ogólnym na politykę i urządzeniami socyalnymi spoglądem. Przytaczam daty historyczne, śledzę ogólny bieg literatury, i dążę do rozwiązania najważniejszej kwestyi będącej na porządku dziennym, to jest: „Jakie są warunki ogólnego uszczęśliwienia ludzkości.“ Raz się tedy

cofam ku ubiegłym epokom cywilizujących się narodów, znów czyniąc skok na przód, staje jedną nogą na drodze dokonanego postępu, kiedy drugą krocze w świat przed zrenicą naszą dotąd ukryty. Zwolna, bardzo zwolna, jak tu pan przeczytasz w Rozdziale 179, odsłaniam krawędź całunu dzielącego nas od świata uduchowionych atomów, i znów w Rozdziale 184 wracam do praktyki, z kądem się na prawo i lewo śmiało nie raz czynią *disgressyje*. Ostatni rozdział jest prorocstwem, jest rodzajem jasnowidzenia, niby odomagnetycznego; jest jednym słowem, rozwiązaniem węzła, czyli zagadki wieków... Tu już poszedłem za pędem ducha, i to jest moja właściwość. Proszę więc pana Dobrodz. o jedną łaskę, abys tylko przeczytał z uwagą całe dzieło, a nie turbuję się oto, abys go nie nabył, lub, abys nabywszy, na niem stracił, bo to myśl nowa i na téj niwie dotąd ani orano, ani siano, plony więc będą jak z dziewiczej ziemi!

*Wydawca.* Prawdziwie... iż byłoby mi nader miło... ale w téj chwili mnogie zajęcia są mi na przeszkodzie... Nie wiem przeto czyli dzieło tych rozmiarów i tak poważnej treści da się.. przeczytać! A wreszcie nasz kraj, który z namietnością czytywał przed kilku laty złe i dobre książki, ugoruje teraz umysłowo i nic już nie czyta prócz kursów pieniędzy i ceny zbóż na targu. Zdawałoby się, że już ludzie odkryli u nas kamień filozoficzny szczęścia, i że pan Dobr. ze swoim projektem za późno przychodzisz. Czyli *np.* traktujesz pan o środkach pomnożenia majątku, w celu użycia onego na zbytki?..

*Autor.* Ale wprost przeciwnie, mój Mości Dobrodz.! zupełnie inne moje jest zadanie! Albowiem twierdzę, że tylko przez wyrzeczenie się dobrowolne nadmiaru, można trafić na drogę wiodącą do prawdziwego szczęścia!

*Wydawca.* Jeśli tak, mój panie, to chcesz zapewne urządzić społeczeństwo wedle reguły św. Franciszka, którą się rządzą OO. Kapucyni, Reformaci i Bernardyni.

*Autor.* Spotykam się z wielu miar z regułą tego świętego, i sam nawet od niejakiego czasu praktykuję coś podobnego *np.* w kwestyi ubóstwa i w kontemplacyi wyższej i t. p. Ale ja dalej poszedłem jeszcze i wyżej jak anachoreci, bo chciałem podbić ciało przez ideę — zniweczyć to ciało!... to jest uważać go za skorupę, a jak czytamy w nowych dziełach, i za popowłokę, — kopertę, i worek na ducha. Rozumiesz mnie pan Dobrodz.?...

*Wydawca.* Niestety!. rozumiem!... ale to pan płyniesz pod wodę i utoniesz w zamęcie.

*Autor.* Oh, nie! Mości Dobrodz.! wypłynę ja, byle mi pan Dobrodz. w tém rękę podał. Prawdy przezemnie położone są tak jasne, iż byle to dzieło znalazło szerokie rozpowszechnienie, zimowa skorupa pęknie na téj ziemi, wiosna nowego życia się zacznie, świat odmłodnieje, ludzie pogardzą ziemską mamoną i aspirować będą inną atmosferę, a nie zaś tę zatrutą, w której żyjemy. Chodzi głównie o dobrowolne wyrzeczenie się korzyści materyalnych.

*Wydawca.* To pięknie, ale i szanowny pan w téj chwili onęj się nie wyrzekasz, żądając odemnie 4000 złotych polskich.

*Autor.* Ja tylko od pana żądam nadmiaru, a zaręczam mu w zamian nieskończone korzyści... bo takie dzieło panie! takie dzieło! to rzecz mogą bez dumy autorskiej, że więcej warte od wszystkich, które wyszły kiedykolwiek w tym rodzaju. Wreszcie, gdyby ta cena

zważywszy na okoliczności miała być za wysoką, to oznacz pan sam cenę... Ja się już ani odezwę!

*Wydawca.* Nie jestem w chęci nabycia dzieła, przeto nie oceniam!

*Autor.* Jak to panie! Czyliż pan nie mówiłeś i nie ogłaszałeś, że zakładasz sobie cel rozpowszechnienia budujących i religijnych książek?... Czyli cofasz się przed pierwotnym zamiarem szerzenia światła w naszym kraju?... Czyli nie ma być twojém powołaniem wspierać dzielnych pracowników na polu teorii religijno-humanitarnych.... Więc miałebym się na panu Dobrodz. zawieśdź i oszukać?... Ja, który dałem panu pierwszeństwo w zakupie méj pracy?

*Wydawca.* Tak jest, panie! zawiodłeś się na mnie!! Znieś przeto odczarowanie ze stoickim wyrzeczeniem się mamony, i przejęty zgrozą na widok 1000 fmk., idź kompletować cuda ukrytego świata, gdzie duchowe atomy, już ani piszą, ani drukują, ani książek nie czytają... Lecz po co masz tak daleko chodzić! Przechodź się po naszym Rynku, a znajdziesz pełno ciał, czyli jak ich nazywasz *worków na ducha*, którzy też nie czytują, ale bawią się kontemplacją jarmarcznych strzępków.

*Autor.* To mnie też panie przejmuje zgrozą, iż kiedy widzę sklepy bławatników z za granicy przybyłych, napełnione kupującymi, a najwięcej anielicami czyli kobietami (gdyż każda niewiasta jest atomem niebiańskim w pochwie ciała ukrytym) to księgarnie są puste, tak, iż sowa, ów ptak będący godłem mądrości, mógłby w nich gniazdo swoje usłać. Cóż za objaw?! powiedz mi pan!

*Wydawca.* Ja myślę, że wina leży w autorach i wydawcach. Pierwsi piszą w sposób dla ogółu nieprzy-

stępny, a tem samem nieużyteczny, a drudzy wydają dzieła bez krytycznego rozbioru i tylko dla prostej spekulacyi. Wreszcie, tak się gwałtownie pomnaża liczba autorów, autorek, wydawców i wydawnictw, że wkrótce nie ten zasłuży się krajowi, który pisze, ale raczej ten, który pisać nie będzie. I jak dawniej strofowano ludzi za *gadatliwość*, tak teraz na tę samą chłostę zasłuży *pisemliwość*.

*Autor.* Przecież proszę pana Dobrodz. przyznać, iż książka jest misyonarzem cywilizacyi, i że bez nauki światby wrócił do barbarzyństwa.

*Wydawca.* Uczenie się, albo nauka, nie jest tem samem co czytanie. Dawniej czytano, aby czasu dobrze użyć i aby się nauczyć, dzisiaj czytają aby czas zabić i zapomnieć o kłopotach życia, a nawet, zapomnieć o obowiązkach względem kraju, rodziny i bliźnich — autorowie też nasi, znając to powszechne umysłów usposobienie, piszą dzieła takiej treści, że się z nich nikt nie nauczy, lecz się niemi chwilowo upoi! Wierzaj mi pan, że książka to jest dzisiaj dla nas tem, czém jest opium dla Chińczyka, które w pierwszych chwilach w pewien stan sztucznej błogości wprowadza, a potem o sen przyprawia.

*Autor.* Jeżeli pan z takiej strony piśmiennictwo ocenasz, i takie zdania rozgłaszasz, to interesą swoje finansowe podkopujesz. Wreszcie sam także będąc autorem i na siebie surowy sąd wydajesz!

*Wydawca.* Tak jest, szanowny panie, i ja staję jako współwinowajca przed trybunałem publicznej opinii, a bijąc się w piersi, przyznaję, iż grzeszę, a grzeszę tem bardziej, iż czynię to z wiedzą zupełną. Zacząłem pisać poważnie, nie wszyscy mnie czytali; pojąłem więc, iż świat woli się śmiać jak płakać... więc za dru-



giemi usta złożyłem do śmiechu, chociaż mi łzawo w sercu. —

*Autor.* W jakimże rodzaju, życzysz sobie pan, aby pisano? . . . .

*Wydawca.* Najprzód byłoby do życzenia, aby mniej w ogólności mówiono i pisano, a więcej czyniono spraw budujących, gdyż jeden dobry przykład lepszym jest od stu tomów dobrych rad. Powtóre, kiedy już kogo pióro do pisania świerzbi, niechaj pisze z ducha a nie z nerwów.

*Autor.* Nie rozumiem pana, a przynajmniej wyrażenie to, nie jest dla mnie dość jasne.

*Wydawca.* Podług mnie każdy utwór literacki nosi wybitną cechę źródła, z którego płynie, a przynajmniej widzi się w nim przeważny wpływ jednego z czterech głównych prądów życia. Albo utwór literacki płynie z krwi czyli krewkości, a do tych należą dzieła nacechowane namiętnością, zemstą, lub też podżeganiem do wojny i buntu. Albo płynie z głowy czyli z alembika myśli, a do tych należą dzieła naukowe ścisłe, jakimi są matematyka, fizyka i oraz polityka spokojna, lub też płynie z nerwów, do których policzymy zawisłe romanse i źle pojętą albo raczej paczoną literaturę dramatyczną, albo w końcu wypływa utwór literacki z ducha i rozwija w ludziach myśl o ich wiecznym przeznaczeniu, prowadząc ku coraz wyższemu udoskonaleniu i uświęceniu ich duszy. My zaś żyjemy dzisiaj w epoce nerwowej — nasze dzieła są płodami drgających i podrażnionych nerwów — pieśń nasza, to jak brzęk stron dotkniętych w rozstrojonej i potrzaskaniej lutni. Nasz uśmiech jest szydlerczy, naszego płaczu nie odwilża łza szczerą i czystą; my spazmodycznie cierpiemy, ale nie bolejemy! Nasza miłość nawet jest ner-

wowa — nienawiść nerwowa. My jesteśmy i żyjemy w stanie rozdrażnienia, a więc i nasze dzieła muszą tę cechę nosić, i dla tego albo są zupełnie złe, albo też, w chwilowy szal wprawiając, zbawiennego na udoskonalenie społeczeństwa nie wywierają wpływu. Wracam się więc do tego, że jeśli nas publiczność nie czyta, to nasza wina. Przykro zapewne pracować bez korzyści, ale z drugiej strony przysłowie „jaka praca, taka płaca” słusznie ją do nas stosuje!

*Autor.* Wie pan, iż mnie to przeraża, co pan mówi, i tracę ochotę do mojego rzemiosła. Może lepiej było szewcem jak autorem zostać.

*Wydawca.* Niezawodnie, panie! tylko że i dzieła naszych szewców tę samą wadę mają co i dzieła naszych autorów, to jest drogo kosztują a pożytku z nich mało.

*Autor.* Mimo przekonywujących dowodów, które pan przytoczyłeś, nie zwątpiłem o pożyteczności mego dzieła, i pójdę szukać mniej skrupulatnego wydawcy.

*Wydawca.* Oh! znajdziesz pan niezawodnie! bo w tém też to właśnie rzemiosle najwięcej jest fuszerów!

---

## OBRAZEK II.

### Wydawca i Księgarz.

*Księgarz.* Zawsze się pan nas pierwój zapytaj zanim dzieło wydajesz, bo my najlepiej wiemy co pójdzie, a co leżyć musi.

*Wydawca.* Ale zmiłujże się panie, kiedy to dzieło doskonałe. Treść moralna, polszczyzna piękna, a wreszcie praca dostojnego w kościele meża!

*Księgarz.* Wszystko to prawda; ale mimo tego osiądziesz pan z tém dziełem na koszu! — Kto go kupi? Kto? powiedz pan! Na palcach obliczyć można tych co się o to dzieło zapytają.

*Wydawca.* Przecież duchowieństwo i ludzie pobożni.

*Księgarz.* Już mówmy o czém inszém, bobysmy się w długą a drażliwą dyskusyą wdali. Powiedz pan czy kończysz lub nie, swoją powieść.

*Wydawca.* Drukuje się, ale pan wiesz ile my to trudności ulegamy. Raz, drukarnia zajęta, drugi raz, papieru brakuje, trzeci raz (i co najczęściej bywa) autorowi konceptu w połowie dzieła zabraknie, więc się to wlecze bez końca!

*Księgarz.* Zapomniałeś pan wspomnieć o najważniejszej przeszkodzie, iż zwykle pieniędzy brakuje, bo gdzie są pieniądze, tam i drukarze się spieszą i papier się po kolei żelaznej toczy, i autorowi się lepsze koncepta snują.

*Wydawca.* Oh! prawda panie! te pieniądze! A panowie tak mało książek sprzedajecie, iż w końcu roku, zamiast biletów bankowych, przysyłacie nam najporządniej spisany rachunek dysponendy i remitentdy, wraz z paką niesprzedanych książek!

*Księgarz.* To nie nasza wina, ale wasza, to jest was wydawców, iż takie drukujecie książki, których nikt nie kupuje; i tak pan w szczególności, zamiast pisać i drukować dzieła o tém jak się można *zbawić*, wydrukuj książkę jak się można *bawić*. — Litera docet litera nocet — a za tę jedną literę z, tracisz na twoich wydaniach. To trudno! głową muru nie przebijesz, taki jest świat. Dcść już panuje u nas jak sam pisałeś w kalendarzu *księgowstręt*, a jeszcze do tego wstrętu dodajesz straszidło surowych przepisów religijnych.

Do Anachonetów na puszcza idź z takieni dziełami, ale nie do ludzi światowo żyjących.

*Wydawca.* To usposobienie publiczności jest przelotne i zmienić się musi, a wkrótce ludzie powrócą do poważnej myśli, i wtenczas moja góra!!

*Księgarz.* Tak, mój szanowny panie! Gdybyś żył matuzalowe lata, a mógł się doczekać złotego wieku moralnej poprawy, to schowałbyś na ten błogi wiek szacowne twoje szpargały, ale dni twoje policzone, latka twoje dobiegają kresu i zamrzesz za nim z edycyi setną część pozbędziesz. Ty czekasz na poprawę społeczeństwa, ale ani fabrykanci papierów, ani drukarze, ani nasi lepiarze, czyli tak zwani introligatory, na złoty wiek nie czekają tylko w wieku ołowianym srebrem sobie każą płacić. Powiedz przeto, po co się na ten ofiarny stós dobrowolnie rzucasz? Spal raczej manuskrypta i niechaj spłoną wonnym kadzidłem Świat dzisiaj nie jest ciekawym *prawdy*, lecz *wieści*, a przeto pisz mu *powieści*

*Wydawca.* Żal mi chorągwi odstąpić!!

*Księgarz.* Cóż mi tam z chorągwi, przy której pułku nie widzę! Czyli chcesz zyskać sławę chorążego który ostatni został na pobojuwisku.

*Wydawca.* Tak jest! bo na tém pobojuwisku jest zasługa względem Boga i kraju, a temu celowi życie moje poświęciłem!

*Księgarz.* Życzę szczęścia i dobrego powodzenia.

## OBRAZEK III.

**Księgarz i Kupiciele.**

*Kupiciel.* Cóż panowie macie nowego?

*Księgarz.* Właśnie odbieramy świeżą pakę z nowościami; — raczy pan przejrzeć!!

*Kupiciel.* Same jakieś duchowne książki, coś mi to potem, ja nie ksiądz, ani nie dewotka... Kazania... i znowu Kazania... Hymny i Filozofia!.. A coś zaś, czyli nas panowie chcecie za życia w aniołów lub świętych przestroić?... Więcej pan nic nie masz?...

*Księgarz.* Są nowe obrazki ludowe.

*Kupiciel.* Znam to, autor myśli może, iż tem umoralizuje nasz lud! żałuję go... złudzenie! złudzenie!... No, żegnam pana!

*Pani N.*.... Czy panowie mają dzieło: *Sur la Perfectibilité progressive de la femme*, napisane w Ameryce po angielsku, a tłumaczone na język francuzki?

*Księgarz.* Nie, Mościa Dobrodz., nie mamy, tylko mamy: *La femme Chrétienne par Chassay*.

*Pani N.*.... Ale któż dzisiaj Chassaya czyta, kiedy ma dzieło amerykańskie, które dowodzi, że kobieta powinna w końcu rządzić światem.

*Księgarz.* W tym duchu napisał już ksiądz Ventura *La femme Catholique*, to zaś dzieło posiadamy i możemy niem służyć.

*Pani N.*.... Tak, ale nie dość jeszcze przyznał nam praw i przywilejów! A może macie panowie *La femme Libre*, par le Réverend Pasteur de Fernay.

*Księgarz.* Nie pańi, nie mamy!

*Pani N.*.... Więc panowie nic nie macie, żegnam panów.

*Chłop.* Jest tu sennik z Lumerami \*) coby stawiać?

*Księgarz.* Nie wolno Senników sprzedawać, bo i kościół i rząd zakazuje.

*Chłop.* Więc zostańcież z Bogiem!

*Lokaj* (bez służby). Jest też tu taka książka co będzie w czerwonej okładzinie, taka mała, a pisze jakby poznać gdzie pieniądze zakopane?

*Księgarz.* Nie mamy takiej książki.

*Lokaj.* Kiedy mi powiadano, że gdzie czego nie dostanie, to tu dostanie!

*Księgarz.* Mój człowieku, żebym miał taką książkę, tobym zaraz księgarnię zamknął, a wziął się do kopania.

*Lokaj.* Ale kiedy mi przecież mówił stolarz, co jest bez roboty, że idzie szukać pieniędzy, i zmawia mnie abym z nim poszedł.

*Księgarz.* Domyślam się!... to mówicie o Kaliforni, gdzie złoto kopią.

*Lokaj.* Tak jest, tak się nazywa Kalafonia! Kalafonia!! Więc może panowie macie?

*Księgarz.* Mamy, ale po francuzku, po polsku zaś nie mamy.

*Lokaj.* Ej, cóż mi z tego, kiedy ja chcę po polsku.

*Księgarz.* Po polsku mamy: *Złotą dolinę*, czyli o sposobie uprawy gruntu. Kup sobie więc Wpan tę książkę, pracuj w ziemi, a złoto znajdziesz na wierzchu.

*Lokaj.* Ej! kiedyby się tam człowiek dorobił? Wolę iść do Kalafonii. — No! kłaniam się panom!

*Pani Y.*.... Proszę panów o książkę dla dzieci, ładnie oprawną i z wielu kolorowanymi obrazkami.

*Księgarz.* Służę pani Dobrodz.

\*) z Numerami.

*Pani Y.* Wieleż kosztuje?

*Księgarz.* Sześć złotych polskich!

*Pani Y.* Oh! jakże to drogo! dziecko nie ma dopiero ośm lat. Któż widział tak drogo sprzedawać. Żegnaj panów.

*Pan Z.*..... Nie macie tu panowie jakiej książki na długie wieczory?

*Księgarz.* W jakimże duchu i rodzaju pan sobie życzysz? Czy historyczne? Czy filozoficzne, czy też podróże?...

*Pan Z.*..... Nie, co innego jeszcze!

*Księgarz.* Może dzieła traktujące o ekonomii politycznej?...

*Pan Z.*..... O, nie! ani o ekonomice nie chcę, bo ja rolnik stariej daty, ani o polityce, bo to niebezpieczne. Złapią człowieka, i zaraz nieszczęście! Ja chciałbym coś takiego, żeby to było ciekawe, dość długie a nie drogie.

*Księgarz.* To może jakie powieści?

*Pan Z.*..... Niech będą i powieści! No, cóż za tę paczkę, jak leży?.....

*Księgarz.* Zaraz obliczę... 40 a 30 — 70, a 12, to 82, a 16 — razem 96 złotych.

*Pan Z.*..... Czyście panowie owaryowali?... Sześć korcy żyta, za taką małą paczusię?... Bywajcież mi zdrowi!! Oni myślą, że szlachcica z prowincyi to można tak orznać! My się znamy na książkach, chociaż siedzimy na wsi! — Dziewięćdziesiąt sześć złotych?... akby pióro opalił!...

&c. &c. &c.

INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN  
BIBLIOTEKA  
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72  
Tel. 26-68-63











F

3584